Nr 3-4 LISTOPAD - GRUDZIEŃ 1946

DZIECI I WYCHOWAWCA

MIESIĘCZNIK

DEKLARACJA GENEWSKA

uchwalona przez Radę Generalną Międzynarodowego Związku Pomocy Dzieciom w dniu 23 lutego 1923 roku.

Niniejszą deklaracją, nazwaną „Deklaracją Genewską", mężczyźni i kobiety wszystkich narodowości uznają, że ludzkość winna dać dziecku wszystko, co posiada najlepszego i stwierdzają, że ciążą na nich, bez względu na rasę, narodowość i wyznanie, następujące obowiązki:

1. DZIECKU powinno się dać możność normalnego rozwoju fizycznego i duchowego.

2. DZIECKO głodne winno być nakarmione; dziecko chore — pielęgnowane; dziecko wykolejone — zwrócone na właściwą drogę; sierota i dziecko opuszczone — wzięte w opiekę i wspomagane.

3. DZIECKO powinno przed innymi otrzymać pomoc w czasie klęski.

4. DZIECKO powinno być przygotowane do zarobkowania na życie i zabezpieczone przed wszelkim wyzyskiem.

5. DZIECKO powinno być wychowywane w wierze, że jego najlepsze cechy powinny być oddane na usługi współbraci.

Wychowuj swoje dziecko tak, aby jemu było dobrze i z nim było dobrze.

Komisja Edukacji Narodowej.

RAMOWE WYTYCZNE WYCHOWAWCZE MINISTERSTWA OŚWIATY, DOTYCZĄCE ORGANIZACJI WYCHOWANIA W DOMACH DZIECKA

Uwaga: W poprzednim numerze pisma podany został błędnie tytuł „Wytycznych“. Winien on brzmieć tak, jak brzmi tytuł „Wytycznych“ w numerze bieżącym.

(Ciąg dalszy)

ZADANIA WYCHOWAWCZE DOMU DZIECKA

W pracy wychowawczej wychodzimy od dziecka: od jego indywidualnych możliwości.

Podstawą pracy wychowawczej będzie zatem poznanie dziecka.

Poznanie obejmować musi zarówno stronę fizyczną jak psychiczną wychowanka.

Wychowawca znać powinien prawa rozwoju fizycznego i psychicznego dziecka i młodzieży, znać powinien warunki potrzebne do tego, by rozwój odbywał się w sposób prawidłowy, znać niebezpieczeństwa wypływające z pogwałcenia tych praw. Poza tym wychowawcę obowiązuje znajomość granic prawidłowego rozwoju oraz indywidualnych odchyleń od przeciętnej, znajomość typologii dzieci i młodzieży. Winien on — o czym była mowa na początku — znać i rozumieć każdego wychowanka oddzielnie.

Pierwszym zadaniem domu dziecka jest wychowanie człowieka zdrowego fizycznie.

Dbałość o właściwy rozwój fizyczny i o zdrowie dziecka polega na dostarczaniu wychowankowi właściwego co do ilości i jakości pożywienia, dostatecznej ilości godzin snu i wypoczynku, dostatecznej ilości ruchu i powietrza, zabezpieczeniu przed zimnem, zabezpieczeniu przed chorobami, leczeniu w wypadku choroby, poddaniu dziecka stałej opiece lekarskiej i dentystycznej.

W trudnych powojennych warunkach zadania te nie są łatwe do spełnienia. Tym bardziej jednak kierownictwo każdego domu dbać musi o wykorzystanie wszelkich możliwości, prowadzących do zabezpieczenia zdrowia dziecka.

W czuwaniu nad zdrowiem dziecka obowiązuje indywidualizowanie. Osiągnąć je można przez takie zorganizowanie życia w domu i taką elastyczność przepisów higienicznych, które zapewniłyby maksimum przystosowania do możliwości każdego wychowanka. I tak wychowawca liczyć się winien z różnicami apetytu poszczególnych wychowanków, różną potrzebą snu i odpoczynku, różną zdolnością do wysiłku umysłowego i fizycznego itp.

Zdrowie fizyczne dziecka jest pierwszym zadaniem pracy wychowawczej domu dziecka. Tylko człowiek fizycznie zdrowy będzie właściwie przygotowany do życia.

Drugim zadaniem będzie zdrowie psychiczne wychowanka.

Człowiek zdrowy psychicznie to człowiek zrównoważony, człowiek o dużym poczuciu rzeczywistości, o pozytywnym stosunku do życia, którym umie się cieszyć i do którego zasadniczo potrafi się przystosować — człowiek wolny od urazów, kompleksów, zahamowań.

Pogoda, zdolność przeżywania szczęścia, poczucie własnej wartości i przydatności — to cechy człowieka psychicznie zdrowego.

Zdrowie psychiczne wyrasta przede wszystkim na gruncie szczęśliwego dziecięctwa. Dlatego też dziecko powinno czuć się swobodnie i dobrze w domu dziecięcym, winno mieć możność rozwoju, możność realizowania swoich pragnień i dążeń, nie może być tłumione, krępowane, onieśmielane, poniżane, niedostrzegane.

Każde dziecko jest tak różne od innych, tak inne ma potrzeby i inne reakcje niż jego towarzysze — że wychowanie dziecka w dużej zbiorowości na jednostkę zdrową psychicznie wymaga wielkiej intuicji i wielkiego wkładu dobrej woli ze strony wychowawcy.

Wychowanek domu dziecka winien być nie tylko jednostką zdrową. Winien on być ponadto człowiekiem wewnętrznie mocnym, obdarzonym silnym charakterem, silną wolą, człowiekiem o określonej linii postępowania, kierującym się określonymi zasadami.

W pojęciu siły wewnętrznej człowieka zawiera się element odwagi, odwagi zarówno cywilnej jak fizycznej. Swoboda w stosunku do wychowawców, wolność wypowiadania się, wolność sumienia, szacunek wychowawcy do wychowanka, prawość wychowawców w stosunku do dzieci — oto warunki wychowania w dziecku odwagi cywilnej.

Właściwy stosunek starszych do niebezpieczeństwa fizycznego, faktycznego i urojonego, takie warunki życia dzieci, które pozwoliłyby im na obeznanie się z niebezpieczeństwem — stworzą możliwość wychowania ludzi odważnych.

Człowiek o silnym charakterze ma określone pragnienia i umie dążyć do ich realizacji, nie zbaczając z obranej przez siebie drogi wskutek okoliczności zewnętrznych. Nie sprowadzi go z tej drogi strach ani tzw. pokusy.

Nader rzadko odporność na prawdziwe pokusy zdobyć można drogą zupełnego odgradzania się od nich. Normalnie odporność ta powstaje drogą powściągów wobec pokus poznanych. Stąd warunki wychowania w domu dziecięcym nie powinny odbiegać więcej niż to jest konieczne od warunków życia dziecka w rodzinie. Prywatna własność, własne pieniądze, otwarte pokoje personelu, możność wyjścia poza obręb zakładu, kontakt z osobnikami innej płci — oto kilka warunków normalnego życia.

Właściwie dozowane możliwości wykroczeń są niezbędnym warunkiem wychowania silnej woli.

Umożliwienie dziecku spełniania przynajmniej części jego pragnień i marzeń, pomoc w ich realizacji — to nieodzowny warunek wychowania człowieka umiejącego c h c i e ć.

Silną wolę i charakter wychowuje także właściwie podana konieczność spełniania obowiązków i podjętych prac, konieczność podporządkowania się prawom. Stąd różne formy pracy wychowanków dla siebie i domu winny być przez wychowawców należycie wyzyskane w tym kierunku. Winny one kształcić obowiązkowość, odpowiedzialność, solidność.

Karność jest jedną z najważniejszych dróg prowadzących do wychowania człowieka wewnętrznie zdyscyplinowanego.

W wychowaniu zbiorowym zbyt często dąży się do uzyskania posłuszeństwa i pozornej obowiązkowości — zbyt mało pracy wkłada się w wyrobienie karności wewnętrznej, wytrwałości i odpowiedzialności. Tymczasem „posłuszeństwo" jest terminem, którego używać możemy słusznie raczej w zastosowaniu do dzieci przedszkolnych. Dzieci szkolne winny być karne. Powinny ufać wychowawcom i wraz z nimi dążyć do osiągnięcia pewnych zadań. Młodzież — winna już dążyć sama przy ich pomocy.

Wychowanie omawianych wyżej cech wymaga wciągnięcia wychowanków, w pewnym stopniu już w wieku przedszkolnym — do akcji samowychowania. W wychowaniu zbiorowym,

zwłaszcza zakładowym, wychowawca winien przywiązywać mniejszą wartość do własnych zarządzeń, co prowadzić musi do wychowania ludzi biernych — a więcej odwoływać się do aktywności wychowanków, do ich zdolności i potrzeby pracy nad sobą, kierowania sobą.

Aktywność wychowanków, zarówno w czynach jak w myśleniu, jak wreszcie w pracy nad sobą jest również zasadniczym postulatem wychowania. Dom dziecka winien dać społeczeństwu ludzi aktywnych, nie biernych.

Pozostawienie wychowankowi dużej samodzielności w myśleniu i działaniu, stwarzanie warunków, budzących samodzielność — oto drogi do wychowania ludzi aktywnych.

W wychowaniu zbiorowym zbyt często samodzielność ta jest eliminowana, co sprowadza wychowanków do roli wykonawców poleceń i do powtarzania zdań, usłyszanych z ust dorosłych, często bez ich rozumienia.

Zagadnienie: obowiązkowości, odpowiedzialności, karności wewnętrznej, zdolności podporządkowania prawom — wykraczają już poza ramy pojęcia człowieka mocnego, stanowiąc jednocześnie elementy pojęcia człowieka uspołecznionego.

Wychowanie człowieka zdrowego i mocnego nie wyczerpuje jeszcze całokształtu zadań wychowawczych. Wychowanek domu dziecka winien być jednostką wartościową społecznie, jego dążenia i zasady postępowania powinny mieć kierunek etyczny, winien on być przygotowany do życia w społeczeństwie, winien być uspołeczniony.

Uspołecznienie — to w pierwszym rzędzie codzienna, aktywna życzliwość w stosunku do innych, chęć zrozumienia ich, gotowość do samoograniczania się na ich rzecz, dążenie do współżycia z nimi. U natur obdarzonych zdolnościami organizacyjnymi i instynktem wodzowskim — uspołecznienie powinno przejawić się także w gotowości organizowania życia zespołowego w celu podniesienia tego życia — na tym lub innym odcinku — na wyższy poziom. Atmosfera domu, właściwe zorganizowanie życia, udział wychowanków w organizacjach pozazakładowych — są warunkami, które sprzyjają ich uspołecznieniu.

Człowiek, wychowany przez dom dziecka, powinien umieć żyć i pracować w zespole.

Chcemy wychować człowieka etycznego, człowieka, którego zachowanie będzie wyznaczone względami na dobro innych, na dobro zespołu — nie tylko swoje własne.

W tym rozumieniu wychowanie etyczne i wychowanie społeczne stają się synonimami, a zasady postępowania — to właśnie zasady postępowania społecznego.

Podstawą tego wychowania jest budzenie i rozwijanie uczuciowości, która jednak nie powinna przerodzić się w sentymentalizm, czułostkowość. Taka organizacja domu, i taka jego atmosfera, które jak najbardziej upodobnią dom dziecka do dobrego domu rodzinnego — które zagwarantują ciągłość wychowania — stworzą podstawę do wychowania uczuć. Związanie dziecka z wychowawcą, obecność małych dzieci w domu, obecność zwierząt domowych, odpowiednia lektura — są pomocą w tym wychowywaniu.

Wpajanie norm etycznych, zasad rozpoczyna się u najmłodszych drogą wywoływania odruchów: pozytywnego w stosunku do tego, co dobre, negatywnego w stosunku do tego, co złe i brzydkie. Im starsze dziecko, tym większą rolę grać musi w wychowaniu etycznym r o z u m i e n i e norm i rozumowy do nich stosunek, co wymaga rozważania wspólnie z wychowankami zarówno poszczególnych zdarzeń, jak i zasad postępowania.

W wychowaniu etycznym wielką rolę grają wzory postępowania, stąd duże znaczenie przypisywać należy zachowaniu całego personelu domu dziecka, lekturze, środowisku pozazakładowemu wychowanków. Dobrzy koledzy znaczą częstokroć więcej, niż najlepsi wychowawcy.

Zadaniem domu dziecka jest przygotowanie człowieka do życia — stąd warunki życia w domu dziecka winny być możliwie najbardziej zbliżone do normalnych, aby przez przetrzymywanie wychowanków w warunkach utopijnych nie utrudnić im samodzielnego udziału w życiu.

W społeczeństwie zorganizowanym każdy jego członek ma swoje określone miejsce i określone zadania do spełnienia. Przygotowanie wychowanka do życia, ukształtowanie zeń jednostki wartościowej społecznie wymaga umożliwienia mu zajęcia takiego miejsca.

Dlatego tak ważne jest dopilnowanie wykonania przez każdego z wychowanków obowiązku szkolnego, a następnie danie mu takiego wykształcenia zawodowego, do jakiego najbardziej jest uzdolniony i chętny. Jedynie usamodzielniony za-

wodowo człowiek opuszczać winien bramy domu dziecka, z wyjątkiem tej młodzieży wybitnie uzdolnionej umysłowo, która wyjść winna na wyższe studia — do domów akademickich.

Wychowanie społeczne wymaga również uzdolnienia wychowanka do udziału w szerszym życiu społecznym, do rozumienia przejawów życia społecznego własnego kraju i całego świata, do wybrania świadomie własnej drogi postępowania.

Domy dziecka nie mogą wychowywać ludzi uzdolnionych jedynie do życia w abstrakcji — winny wychowywać ludzi umiejących znaleźć swoje miejsce w konkretnej rzeczywistości.

Wychowawcy obowiązani są kształtować świadomych obywateli Polski demokratycznej, pojmujących idee postępu społecznego, dążących do ich realizacji.

Zawsze najszczytniejszym zadaniem wychowawcy było rozwinięcie w dziecku jego zdolności umiłowania idei, jego dążenia do ideału.

Ideały bywają różne: lepsze i gorsze, bliższe i dalsze, realniejsze i bardziej abstrakcyjne. Na tradycyjne pojęcia ideału najdalszego, składają się ideały: dobra, prawdy, piękna. Do nich wszyscy dążymy.

Poza tymi ideałami obowiązującymi *człowieka* zawsze i wszędzie, w każdej epoce i pod każdą szerokością geograficzną — mamy też ideały bliższe, bardziej realne, wyznaczone przez konkretną rzeczywistość, przez chwilę dziejową.

Dane nam jest żyć w chwili historycznej, w momencie przełomowym. Żyjemy w okresie wielkiej rewolucji ustroju gospodarczego, społecznego, w dobie rewolucji pojęć i obyczajów.

Faktu tego świadomi muszą być przede wszystkim wychowawcy. Nowemu prądowi winni oni pomóc ze wszystkich swoich sił przez:

a) zrozumienie istoty dzisiejszych czasów i przemian,

b) wpojenie wychowywanym przez siebie dzieciom umiłowania postępu i pragnienia współpracy w dziele budowy nowej Polski i nowego świata.

Ideał wychowania nie w jednakowej mierze da się zrealizować w stosunku do poszczególnych wychowanków. Różne są ich możliwości wrodzone, w różnym wieku i z różnymi spaczeniami przybywają do domów dziecka.

Zależnie od możliwości, jakie przedstawia wychowanek — różne stawiać należy cele w drodze do realizacji celu ostatecz-

nego, różne także stosować trzeba metody. Celu najwyższego jednak wychowawca nie może tracić z oczu.

. . . . wierzę,
Że ludy płyną jak łańcuch żurawi,
W postęp . . . .

S ł o w a c k i.

MY

Jeszcze wszyscy mówią o nas: „dzieci”,
jesteśmy bowiem m a l i i mało mamy lat,
ale już rozumiemy wiele dużych rzeczy:
że życie bywa ciężkie, że praca dźwiga świat,
a my — rośniemy po to,
by nowy tworzyć ład.

E w a S z e l b u r g - Z a r e m b i n a.

ZAMIAST OBRAZKÓW

DZIECI ZAKŁADOWE

Dwojakie może być pochodzenie najmłodszych wychowanków naszych domów dziecka.

Jedne — przychodzą do nas z własnych domów. Osierocone lub z innych przyczyn pozbawione opieki — idą do domu dziecka. Są to dzieci „domowe“.

Inne — osierociały lub zostały porzucone przez matki (przeważnie nieślubne) w pierwszych dniach, tygodniach, miesiącach życia. Wychowywał je niemal od urodzenia — zakład. Same sądzą długo, że się w nim urodziły. To dzieci „zakładowe“.

Dotychczas chowały się w zakładzie dla najmłodszych do lat siedmiu, niekiedy przenoszono je do dalszych zakładów już w szóstym, piątym, nawet czwartym roku życia.

Grupa ich, umieszczona w domu dzieci starszych, sprawiała zawsze duże trudności wychowawcy i raziła swą odrębnością.

W czasie okupacji przeprowadziłam ustną ankietę wśród wychowawczyń tych dzieci w różnych zakładach. Pytałam, czy różnią się te dzieci od dzieci „domowych“, a jeżeli tak, to czym?

Wszystkie odpowiedzi były w treści swej jednakowe: dzieci „zakładowe“ są zupełnie inne niż „domowe“.

Są one przede wszystkim „jednakowe". „Kiedy przyjdzie do nas grupa dzieci z domu, po godzinie już wiem, który jest Staś, który Tadzio, która Zosia, a która Fela — dzieci zakładowe uczę się rozpoznawać nieraz przez parę tygodni — określiła to jedna z wychowawczyń.

Wszystkie zgadzały się następnie co do tego, że dzieci te nie umieją normalnie kontaktować z kolegami ani wychowawcami — nigdy nie wiadomo, o co im chodzi. Jedna z wychowawczyń opowiedziała, jak to dziecko „zakładowe" potrafi przy stole siedzieć ponad godzinę i nie jeść. Nie chce wstać od stołu i nie chce jeść, nie odpowiada na żadne absolutnie pytania: czy potrawa mu nie smakuje? czy za słona, czy za mało słona, czy wolałoby co innego? Nie mówi nic, tylko siedzi nad miską i milczy. O innym dziecku opowiadano, że tuż przed wyjściem do szkoły zaczęło gwałtownie i głośno płakać w kącie korytarza. Podobnie jak poprzednie, nie odpowiadało na zapytania, nie reagowało na perswazje. Znacznie później okazało się, że powodem tego było zgubienie przez nie zeszytu.

Dzieci zakładowe — mówiono dalej — mają bardzo ubogi słownik, mówią niegramatycznie, cechuje je brak najprostszych pojęć.

Nie umieją się bawić. Pozbawione są fantazji, pomysłowości, inicjatywy. Nie ma mowy o zabawach dowolnych wśród nich, o zabawach fikcyjnych.

Piątą cechą wspólną tej kategorii dzieci jest kiwanie się. Dzieci te — i to jest ich specjalność — potrafią g o d z i n a m i siedzieć na ziemi lub stać i kiwać się w tył i w przód lub na boki. Niektóre z nich miotają się w łóżku przez sen nawet, uderzając głową o pręty siatki raz w lewo, raz w prawo.

Szósta cecha wspólna, to moczenie nocne, które występuje u nich bardzo często.

Taki jest obraz dziecka, przechodzącego w wieku przedszkolnym z zakładu dla najmłodszych do naszych domów.

Obraz zmienia się z czasem, zaciera, ale jego rysy zasadnicze pozostają.

Kiedy badam psychikę dzieci w domu dziecka, zawsze prawie potrafię wyróżnić te, które „urodziły się w zakładzie", choćbym je badała w okresie kończenia przez nie szkoły powszechnej.

Czy mają niższą inteligencję? — nie zawsze. Są jednak, i te o normalnej inteligencji, jakieś inne, jakieś okaleczałe.

Rozmowa z nimi — przeciętnie biorąc, trudniejsza jest niż z innymi. Zacinają się bez zrozumiałej dla mnie przyczyny, milkną nagle, ni stąd ni zowąd zaczynają płakać. Nie rozumieją, co do nich mówię, czego od nich żądam. Oczywiście, nie jest to zjawisko powszechne, jest tylko częste.

W rozmowie wykazują duże ubóstwo pojęć. Kiedy w rozmowie z dzieckiem dziewięcioletnim przekonam się, że nie słyszało nigdy terminów „żona" i „mąż", a o ślubie wie, że „to jest takie, co ksiądz daje" — wiem, że mam do czynienia z dzieckiem zakładowym. Nowy zakład, szkoła, cały nowy świat, który się otworzył przed dzieckiem po opuszczeniu przez niego zamkniętych murów poprzedniego zakładu — wszystko to tak go oszałamia, że dziecko, którego chłonność psychiczna doskonale została zahamowana warunkami pierwszych siedmiu lat życia, chwyta jedynie sprawy bezpośrednio go obchodzące, sprawy bliskie — pozwalając mniej krzyczącym okazjom do rozszerzenia jego wiedzy o świecie przepływać niepostrzeżenie mimo niego.

Kiedy kierują do mnie dziewczynę dwunastoletnią z powodu jej conocnego uderzania przez sen nogami o pręty łóżka — wiem, z kim mam do czynienia.

Badanie przedszkolaków „zakładowych", kandydatów do szkoły, to prawdziwa męczarnia. Często się zdarza, że nie reagują na pytania, siedzą, patrząc tępo przed siebie szklanymi oczyma. Czasem płaczą. Prawie nigdy nie odchodzą wtedy: siedzą i płaczą. Nie przyjmą nawet podanego im cukierka, obruszą się, kiedy się je próbuje objąć.

Dlaczego są takie?

Dziedziczność? Zapewne, nie są te dzieci ani dobrze poczęte, ani dobrze urodzone. W większości są raczej dziećmi lekkomyślności i występku — niż miłości. Matki ich, to przeważnie element, który dziecku swemu inteligencji, rozsądku, woli — nie mógł przekazać. Ojcowie? Ojcowie nie przekazali z pewnością silniejszych dyspozycji moralnych, poczucia odpowiedzialności.

Ale — dziedziczymy przecież cechy dalszych naszych przodków, geny kombinować się mogą różnorodnie — nie możemy wszystkiego tłumaczyć dziedziczeniem.

Matki — to zwykle kobiety ubogie. Okres ciąży nie był dla nich okresem prosperity — głodowały i marzły, kryły się i cierpiały. Rodziły często w warunkach najgorszych: w przydrożnym rowie, w stodole, na ulicy. Próbowały dziecko zni-

szczyć, nim przyszło na świat, chciały dziecko zamorzyć, gdy przyszło. Dzieci, które dostawały się do domu dla najmłodszych, dostawały się często w stanie ostatecznego wyczerpania. Wszystko to odbić się musi na możliwościach rozwoju dziecka.

Nie wyczerpuje to jednak całokształtu zagadnienia, choć niejedno tłumaczy.

Główną przyczyną omawianego stanu — jest wadliwe wychowanie dziecka w wieku przedszkolnym, i pozostawienie go bez wychowania do lat dwu a nawet trzech i więcej.

*

Jak wygląda zakład dla najmłodszych? Wygląda różnie, zależnie od wielkości. Im większy — tym wspanialej urządzony i wyżej postawiony pod względem lekarskim i pielęgniarskim, im mniejszy — tym mniej krzywdy wyrządza psychice dziecka.

Przed wojną uznawano prymat zakładów-gigantów.

Kierownikiem był lekarz, każdy oddział miał swego lekarza-ordynatora, personel składał się z pielęgniarek, służby i karmiących matek. Był to właściwie szpital, nie dom wychowawczy. Sypialnie dziecięce — to duże sale, w których prócz kilkudziesięciu jednakowych łóżek ustawionych w cztery rzędy i krzyża na ścianie nie było absolutnie nic.

Zakład-gigant musiał żyć w ciągłym lęku przed epidemiami. Toteż całe życie nastawione było w nim na ochronę zdrowia dziecka. Wybuch epidemii na jakimś oddziale doprowadzał do istnego szaleństwa w przenoszeniu dzieci. Dziecko, które administracyjnie spędzało siedem lat życia w jednym zakładzie, faktycznie przechodziło nieraz sześcio-, siedmio-, ośmiokrotne i liczniejsze zmiany środowiska wychowawczego: inny oddział — więc inne także wychowawczynie, dzieci, zabawki, sala.

Zakład był całkowicie zamknięty. Dzieci nie widziały ulicy. Na spacer wychodziły na trawnik przed domem, oczywiście w obrębie murów. O ubóstwie doznań i przeżyć dzieci, pozostających w tych warunkach świadczyć mogą dwa fakty:

w jednym z takich zakładów dzieci zdumione były odkryciem faktu, że wychowawczynie jedzą. Sądziły, że jest to funkcja wieku dziecięcego;

w innym, dzieci, znające dobrze z obrazków zwierzęta egzotyczne — nie umiały na widok kota zdecydować: czy to wróbel czy pies?

W najwzorowszym z tego typu zakładów badałam pewnego dnia niemowlę. Inne były wyniesione do ogrodu. Zostało, prócz mego „klienta", jeszcze dwoje niemowląt, nie wyniesionych na dwór z powodu jakiejś lekkiej ich niedyspozycji. Zaczęłam je obserwować.

Ponieważ we wzorowym zakładzie obowiązywała zasada dostarczenia dzieciom zabawek — miały one poprzywiązywane tasiemką do łóżka kolorowe grzechotki. U obydwu grzechotki te po krótkiej chwili znalazły się „za burtą" i nie było nikogo, kto by je im włożył do łóżeczka. Dzieci miały już około roku, siedziały więc i nudziły się. Potrzeba jest matką wynalazku, im więc aktywność wskazała możliwości zabawy, zajęcia. Jedno miało zabandażowany brzuszek, zdarło więc z siebie bandarz i szarpało go, drugie, które nie miało nic — zaczęło się bawić swymi organami płciowymi.

*

Ponieważ badani przeze mnie co roku kandydaci do szkoły powszechnej, wychowankowie omawianego zakładu, uderzali mnie swoją odrębnością od innych dzieci — chciałam wejrzeć nieco bliżej w warunki ich bytowania i podjęłam trzytygodniowe zastępstwo urlopowanej wychowawczyni.

Dano mi — jako niefachowcowi — najmniej liczną grupę. Była to grupa dziecińcowa, nie zaliczana jeszcze do właściwych grup wychowawczych, przedszkolnych. Składała się z bodaj dwudziestu czy nieco ponad dwudziestu dzieci, z których najmłodsza, Wanda, miała rok i dziewięć miesięcy, najstarsza, Krysia, dobiegała czterech lat.

Przeżyłam z tą grupą ciężkie trzy tygodnie, po których siostra, opiekunka grupy wydała o mnie opinię: „bardzo się starała i była miła ta pani, ale zupełnie sobie nie umiała poradzić". Istotnie — nie umiałam i nie umiałabym dziś, po wielu latach, w tych warunkach, jakim musiałam się poddać, nie chcąc wprowadzać zmian, których kontynuacji nikt by po moim odejściu nie podjął. Celem moim było przecież poznać, jak żyją i rozwijają się dzieci.

Torturą było codzienne wychodzenie z dziećmi na spacer. Maleństwa nie umiały iść razem, wiele trzeba było za rączkę sprowadzać ze schodów (pierwsze piętro), bo bały się lub nie umiały schodzić same. Starsze wybiegały w tym czasie naprzód i wchodziły do otwartych drzwi kancelarii czy innych sal lub zostawały w tyle i z zaciekawieniem grzebały w spluwaczce

lub podnosiły wycieraczkę do nóg czy chodnik, zjeżdżały ze schodów siedząc lub popełniały inne jakieś czyny, które przyprawiały mnie o rozpacz i ściągały oburzone bądź nieco ironiczne spojrzenia czy uwagi pracowników zakładu.

Bardziej jeszcze koszmarne było wysadzanie dzieci. Odbywało się to bodaj osiem razy dziennie, zaraz policzę: rano, po śniadaniu, przed obiadem, po obiedzie, po ciszy, przed kolacją, przed snem — razem siedem, o ile czego nie zapomniałam.

Całą grupę prowadziłam do ubikacji. Każdemu odpinałam majtki lub rozwiązywałam pieluchę (młodsze nie miały majtek). Siadały. Nie było wolno wstawać, dopóki choć jedno było jeszcze w trakcie załatwiania się. Kiedy ostatnie powiedziało „już", dzieci mogły zacząć wstawać kolejno. Kiedy jednemu zapięłam już majtki lub zawiązałam pieluchę — mogło wstać następne. Zapięte czekało na resztę grupy. Dzieci nudziły się bardzo. Żywsze — urozmaicały sobie czas suwaniem się po podłodze. Ponieważ posuwanie się naczynia po kamiennej posadzce wywoływało hałas — przybiegła siostra oddziałowa i wypowiedziała swoje uwagi. Zaczęłam więc „polować" na jeżdżące dzieci (zwrot słowny w stosunku do nich pozostawał, oczywiście, bez reakcji). W czasie tego „polowania" inne jakieś dziecko wkłada rękę do swego naczynia, po czym umazaną smaruje sukienkę czy włosy sąsiada. Natura dzieci buntowała je przeciw bezmyślnemu traceniu czasu.

Duży kłopot sprawiały mi objawiane czasem zainteresowania dzieci. Nie wolno mi było ich zaspokajać.

Na prośbę jednego z dzieci podniosłam je kiedyś do okna, żeby zobaczyło przejeżdżającą za murem kolejkę. Natychmiast cała gromada znalazła się przy mnie z wyciągniętymi rękoma wołając: „i ja! i ja!" Zwabiona krzykiem przybiegła siostra. „Co pani robi? jakżesz tak można? one przecież nikomu potem spokoju nie dadzą, będą chciały ciągle do okna."

Wracam ze spaceru — nie — z trawnika przed domem. Mamy brudne kubełki i łopatki. Zaczynam je myć w muszli, znajdującej się na sali dzieci. Jedno z nich przysuwa krzesło i wspina się na nie: „ja chcę myć". Drugie i trzecie robi, oczywiście, to samo. Już mam wianuszek najstarszych koło umywalki. Myją, cieszą się, są zadowolone. Pozostałym wyjaśniłam jakoś, że dziś nie ma dla nich miejsca, jutro będzie ich kolej. Sielankę przerwała nam siostra. Dzieciom nie wolno chlapać się w wodzie. Zaleją podłogę (krytą zresztą linoleum),

zmoczą fartuszki (dzień był upalny, fartuszków w magazynie zakładowym nie brakło).

Rano padał deszcz. Dzieci nie wyszły na dwór. W kącie sali stała duża skrzynka klocków — wysypałam je dzieciom dla zabawy. I to okazało się niewłaściwe. Skrzynka jest mała, długo trzeba układać w niej klocki zanim się wszystkie zmieszczą, nikt na to nie ma czasu. Klocki daje się tylko w niedzielę.

Ze wszystkich dzieci, jakie miałam w tej grupie, pamiętam dziś imiona dwóch, a zachowanie jednej, najmłodszej. Bo też było co pamiętać.

Dzieci siadają do stołu. Siostra uprzedza mnie, że tylko najstarsze jedzą same, młodsze należy karmić. Przystępuję do tego zadania. Nie zdążyłam jeszcze pierwszej łyżki zupy donieść do ust pierwszego dziecka — gdy nagle Wanda rzuca się w tył na ziemię z niziutkiej ławeczki z okropnym krzykiem. Siostra wyjaśniła mi zaraz: ona jest zła, że pani nie od niej zaczęła. Wanda wrzeszczała ponad pół godziny, biła nogami o ziemię. Sceny podobne zdarzały się z różnych powodów niemal każdego dnia i trwać mogły do półtorej godziny.

Wyjaśniono mi pochodzenie obyczajów wandzinych. Dziecko dzięki tym obyczajom przeniesiono zresztą z grupy niemowlęcej do dziecińcowej. Gdyby była spokojna, tkwiłaby jeszcze, jak tyle jej rówieśników — między niemowlętami. Ale Wanda była aktywna, nie bierna, jak inne, nie pozwalała robić z sobą tego, co chciały jej pielęgniarki, służące, lekarze — Wanda musiała się rozwijać. Siedziała w łóżeczku — ale nie chciała już siedzieć, stawała. Potem nie chciała już stać, chciała chodzić. Nie poprzestawała, jak inne, na przestrzeni, wyznaczonej ściankami łóżka, żądała szerszej. To nie było przewidziane dla jej grupy. Stojąc więc w łóżeczku wrzeszczała tak wytrwale — aż znudzone pracownice wyjmowały ją na podłogę. Tak nauczyła się Wanda walczyć o swoje prawa.

Bardzo jestem ciekawa dalszych losów Wandy.

*

Po wojnie wizytowałam jeden z takich domów. Zainteresowałam się przede wszystkim nie zajęciami wychowawczyń z dziećmi przedszkolnymi, ale tym, co dzieje się z tymi dziećmi przed przyjściem i po wyjściu wychowawczyń.

Kierowniczka domu, lekarka, poinformowała mnie, że dzieci wstają o 7 rano. Wstawały o pół do szóstej, o czym

nie wiedziała, gdyż sama pracę swoją zaczynała później, jak przystało na dyrektora wielkiej instytucji.

W jednym skrzydle były trzy sypialnie i w drugim trzy. Każda na około 30 dzieci. W sumie jedno skrzydło miało blisko stu, drugie nieco ponad sto wychowanków od 4 do 7 lat, posegregowanych ściśle na grupy według wieku.

Tego dnia, który opisuję, na jednym oddziale była jedna, na drugim — dwie służące. Dzieci obudziły się same i zaczęły hałasować, wychodzić z łóżek. Służąca zaczęła je ubierać. Ubrane czekały w sypialni na pozostałe grupy. Kiedy już wszystkie były gotowe, stanął długi sznur dzieci w ogonku do mycia.

Myła je inna służąca, czy też pomocnica pielęgniarki. Wodociąg był od dawna zepsuty, oszczędzano więc wody. Myjąca brała wodę z wiadra kubkiem, polewała swoją rękę, myła nią dziecku ręce i twarz (pozostawiając uszy nietknięte), po czym wycierała każde świeżutkim — widać na intencję wizytacji wyjętym — ręcznikiem, który natychmiast starannie składała. Myte dzieci stawały w drugim ogonku, częściowo skupiały się w kącie dużej łazienki. Kiedy mycie setki dzieci dobiegło końca — skierowały się one do jadalni.

Zjawiła się siostra, przedtem niezauważalna, kazała im klęknąć, zmówiły długi pacierz plącząc bezlitośnie słowa w sposób, który byłby zabawny, gdyby nie był tak smutny. Potem rozdała dzieciom po grubej, bardzo grubej kromce chleba czymś lekko nasmarowanej i... kazała usiąść przy stolikach. Sama wyszła na mszę. Była godzina siódma. P e ł n ą g o d z i n ę spędziły dzieci w jadalni gryząc, międląc, krusząc i rozrzucając ten chleb. Spędziły ją pod okiem jeszcze innej osoby, drugiej pomocnicy pielęgniarki, osoby, która trzcinką, trzymaną w ręce, regulowała zachowanie się dzieci.

O ósmej przyszła siostra z kawą.

O dziewiątej przyszły wychowawczynie i rozpoczęły się zajęcia.

Czas między wypiciem kawy a przyjściem wychowawczyń spędziły dzieci na korytarzu. Siedziały i „były cicho".

Od piątej trzydzieści do dziewiątej — trzy i pół godziny. Ten duży szmat czasu był stracony dla dzieci pod względem wychowawczym, nie dał im żadnych bodźców do rozwoju. Ubranie, mycie, wysadzenie (nie pamiętam przed czy po śniadaniu, a może i przed i po), oraz posiłek — nie powinny były zająć

dziecku więcej niż godzinę. Pozostały czas winien być jego czasem, czasem zabawy.

O czwartej wyszły jedne, w jakieś pół godziny po nich drugie wychowawczynie. O piątej, w słoneczny, ciepły, letni dzień dzieci szły spać. (Według informacji kierowniczki odbywało się to o siódmej). Układały je służące. Dzieci były rozbawione, ruchliwe, wesołe. Służąca co chwila sykała: „cicho“. Zażądała tego także przechodząca pielęgniarka. „Dlaczego pani każe im być cicho przy rozbieraniu się?“ — spytałam. — Jakto: dlaczego? przecież mają iść spać“. Ułożono je i pozostawiono bez dozoru. Znowu na skrzydle o trzech sypialniach została jedna służąca. Chodziła ona od sali do sali i uspokajała głosem lub ręką dzieci, które hałasowały, siadały na łóżkach lub z łóżek wychodziły. Wreszcie sypialnie się uciszyły. Słychać było tylko miarowy stukot głów dziecięcych o poduszki (z góry na dół) lub o boczne pręty łóżeczka (na boki).

Ranek trzech grup drugiego skrzydła przedstawiał się nieco inaczej. Mianowicie:

dzieci ubrane i „umyte“ nie otrzymały chleba na godzinę przed kawą. Dostały go razem z kawą o godzinie ósmej. Czas między pół do siódmej a ósmą spędziły w jednej z sal przedszkolnych. Było ich 95. Siedziały na podłodze. Przez półtorej godziny. Między nimi na środku sali na krześle siedzała służąca. Cały ten czas jedne dzieci spędziły bez ruchu, inne na kiwaniu się. Jedno z tych ostatnich potrafiło nawet dwie pieczenie upiec przy jednym ogniu: kiwając się w tył i w przód uderzało główką o szafę, przy czym powstawał rytmiczny hałas.

Nikt z personelu zakładowego nie widział w takim zorganizowaniu życia dzieciom czegoś niewłaściwego. Organizacja taka nie była zresztą przypadkowa. Była wynikiem warunków: ściśle zamknięty ogromny dom dla małych dzieci w jednym wieku, brak dostatecznej liczby personelu wychowawczego.

*

Zakłady takie nie będą istniały.

Likwidujemy zakłady dla dzieci w wieku 0 — 7 lat.

Zakłady dla dzieci do lat trzech muszą — jeśli mają spełniać swoje zadanie — nietylko pielęgnować ale i wychowywać swoje dzieci. Organizacja ich wymaga poważnego przemyślenia.

Liczne dziś jeszcze dzieci „zakładowe“ różnią się od dzieci „domowych“ i w naszych domach dziecka wymagają szczególnej troski.

Dzieci te, przeniesione do małych zakładów, zmieszane z dziećmi „domowymi", obdarzone towarzystwem dzieci starszych, wyrwane zza murów do domu dziecięcego, który otworzy przed nimi świat — upodobnić się muszą po latach naszej pracy i naszych wysiłków do dzieci „domowych".

Irena Chmieleńska.

UŚMIECH DZIECKA

Kiedy Cię smutne życie do ziemi pochyla,
kiedy złością dokoła zieje cały świat,
aby się rozpromienić — spojrzyj na motyla,
albo ptaka posłuchaj, lub powąchaj kwiat...

A jeżeli masz dziecko — najszczęśliwszy z ludzi,
które jest jako ptaszek i motyl i kwiat —
spójrz w oczy Twego dziecka ... w sercu Ci się zbudzi
radość, której nie zaćmi najsmutniejszy świat...

Jest podłość i jest rozpacz, i troska i żal...
Są złe siły dokoła, i jest moc zdradziecka,
co więdnąć każe kwiatom, ptaki pędzi w dal...
Moc tę zwycięża jedno tylko: uśmiech dziecka...

Julian Ejsmond.

W OBRONIE NASZYCH NAJMŁODSZYCH.

Wobec tego, że w większości naszych „Domów Dziecka" jest duża rozpiętość wieku, chciałabym na ten temat powiedzieć kilka praktycznych uwag „w obronie naszych najmłodszych".

Sama nazwa „Dom Dziecka", jaką przyjęliśmy dla zakładów, wskazuje, że zakłady te mają zastępować dom rodzinny. A w rodzinie, zwłaszcza licznej rodzinie, wśród rodzeństwa jest zwykle podobnie duża rozpiętość wieku.

Mamy więc wrażenie, że może najidealniejszym typem Domu Dziecka jest właśnie ten dom, w którym ta rozpiętość istnieje.

Podczas wizytacji najróżniejszych typów zakładów mogłam często zauważyć dwa zasadnicze błędy związane z tą strukturą zakładu. W zakładach prowadzonych przez stowarzyszenia religijne najwyraźniej była pokrzywdzona grupa starszych na rzecz młodszych. Starsze dzieci są obarczone dyżurami, starsze dziewczynki pilnują młodsze, obcerowują je, wstają nawet w nocy do nich, nie mają nawet czasu odrobić lekcji. Toteż nienawidzą tych młodszych. Ileż razy słyszałam i od chłopców

i od dziewczynek: „wolałabym być w zakładzie, gdzie są same starsze dzieci".

W zakładach świeckich często dzieje się wprost przeciwnie. Grupa starszych jest uprzywilejowana, wszystko się koło nich kręci, praca z nimi wydaje się ciekawsza, problemów jest więcej. Wydaje się, że trudności są większe i że wymagają one więcej czujności i obserwacji.

Powiedziałam: „wydaje się", bo istotnie tak się tylko wydaje. Naprawdę każdy wiek dziecka ma równe choć różne trudności i zawsze wymaga czujności i obserwacji. Moje zainteresowania ogarniają dzieci i młodzież w równej mierze, uczuciowo jednak jestem bardziej związana z dziećmi młodszymi. I znając je bez porównania lepiej, o nich szczególnie chciałabym kilka słów powiedzieć.

Potrzeby małych dzieci są inne niż potrzeby dzieci starszych. Różne są potrzeby każdego wieku, ale dziecko od trzech do dziesięciu lat wymaga specjalnej opieki. Mówię tu o dzieciach chowanych w mniej więcej normalnych warunkach, bo wszyscy znamy wypadki, zwłaszcza z okresu okupacji, że dziecko 7-letnie doskonale dawało sobie radę, było samodzielne, a niekiedy nawet stawało się żywicielem rodziny.

Dziecko w zakładzie nie ma możliwości zdobycia tych doświadczeń i tej samodzielności. Pierwsze lata życia mają wpływ na całe życie. Jeżeli małe dziecko będzie się chowało w atmosferze zdrowej — nabierze ufności i pewności siebie, odwagi i radości, będzie się mogło rozwinąć swobodnie i otrzyma w ten sposób odpowiednie podstawy do pełnego rozwoju.

Dać to dziecku w zakładzie nie jest rzeczą łatwą.

Wróćmy znów do porównania z przeciętną rodziną. Matka pracuje, rano prowadzi dziecko do przedszkola, śpieszy się nie ma wiele czasu, ale gdy ubiera dziecko albo pomaga mu się ubrać, zawsze wtedy kilka słów z nim zamieni, uściska na pożegnanie, jeżeli tylko może na pewno od czasu do czasu wsunie mu coś lepszego do koszyczka z drugim śniadaniem. Gdy dziecko wraca z przedszkola, odpoczywa od życia gromadnego. Bawi się lub rozmawia z matką, z ojcem czy ze starszym rodzeństwem, którzy rozmawiają z nim tylko, nie z całą gromadą. Wie, że jeżeli je coś zaboli matka pochyli się nad nim, wie, że do kogoś należy, że ktoś się o nie specjalnie troszczy. Wieczorem przy myciu matka rozmawia z nim, ucałuje na dobranoc. Gdy w nocy zapłacze, matka jest znów przy nim, uspokoi, gdy mu się coś przykrego śniło.

W zakładzie dziecko po szkole czy przed szkołą wraca znów do gromady, a małe dzieci w gromadzie męczą się i zatracają.

Dzieci zakładowe przeważnie nie umieją się bawić. I to nie dlatego, że nie mają zabawek. Kiedy pierwszy raz w życiu zaczęłam prowadzić dom dziecka, w którym większość stanowili wychowankowie zakładu dla dzieci przedszkolnych, byłam przerażona tym, że dzieci te nie umiały się bawić. Zdobyłam dużo ślicznych zabawek, nie ustawiłam na półkach dla dekoracji zakładu, ale dałam dzieciom; po trzech dniach wszystkie zabawki były zepsute, po tygodniu leżały w kątach i nikt ich nawet nie dotknął.

Pomyślałam wtedy: nie mają gdzie chować swoich zabawek, jeden drugiemu zabiera. Zrobiłam szafki, każde dziecko miało swoją przegródkę. Było trochę lepiej przez dwa, trzy dni, później znowu nie bawiły się wcale. Miałam ze sobą moją córeczkę czteroletnią, która z początku była bardzo nieszczęśliwa w zakładzie, tłok i krzyk ją męczył i ciągle prosiła: „Mamo, pozwól się bawić w twoim pokoju, one nie umieją się bawić „na niby". Trudne jest położenie kierowniczki, która ma własne dziecko w zakładzie, choć dla mnie osobiście było to tylko pomocą.

Pozwoliłam małej bawić się w moim pokoju: kilka dni bawiła się sama, sama gotowała, prała, chodziła po zakupy — to wszystko „na niby". Nie długo to trwało. Po paru dniach przyprowadziła sobie jedno, potem dwoje, troje dzieci, czasem było ich siedmioro, zabawa była doskonała. Inne dzieci też chciały przyjść, wszystkie chciały, ale bawiące się nie chciały, aby ich było dużo, pozwoliłam więc nowej grupie bawić się obok w sypialni, inne rozpostarły się na korytarzu, w świetlicy też została mała grupa.

Czasem pozwalałam prać naprawdę w łazience. Dzieci były szczęśliwe. Szybko nauczyły się bawić w rodziny, w fryzjera, nawet w „łapanki" — wszystkie były zajęte. Otóż na to chciałabym zwrócić uwagę: małe dzieci muszą mieć gdzie się bawić same lub małymi grupkami.

To jest trudne w zakładzie, w zakładzie przecież musi być ład, do zakładu może w każdej chwili wejść gość i zwiedzać. Zakład zwykle ma przewidziane duże sale: sypialnia, jadalnia, świetlica; do sypialni nie wolno w dzień chodzić, w jadalni uczą się starsze, zostaje tylko ta nieszczęsna świetlica. Starszym, gdy proszą o to — pozwolimy uczyć się w pokojach sypialnych, młodszym prawie każdy wychowawca wzdraga się pozwolić na zabawę w sypialni.

Problem jest trudny do rozwiązania, a jednak jeżeli chcemy dać dzieciom prawdziwe dzieciństwo, chcemy w nich wychować samodzielność, indywidualność i fantazję, rozwinąć w nich własne życie, musimy im dać możność bawić się w samotności względnie w małych grupkach.

Im głębiej zapuszczamy się w poznawanie zabaw dziecięcych, tym jaśniej występuje przed nami rola indywidualności w zabawach, bliski związek zabaw z życiem, uczuciami i z zamysłami dziecka. Obserwując dziecko przy zabawie możemy je dopiero dobrze poznać. W lecie sprawa jest łatwa: w ogrodzie, na łące dzieci mają miejsce na zabawy samotne lub w małych grupkach, ale i na zimę musi kierownictwo jakoś ten problem rozwiązać. Trzymanie 20—30 dzieci w świetlicy, gdzie w dodatku wychowaczyni organizuje gry i zmusza do zabawy, muszę nazwać okrucieństwem. Zresztą jeżeli dzieci bawią się same, wychowawczyni ma czas obserwować to jedną, to drugą grupę. Siedzi sobie z robótką lub chodzi od jednej grupy do drugiej. Wygląda to jakby nic nie robiła, jakby była wolna, dziecko wtedy śmielej do niej przystąpi, porozmawia, nawiąże indywidualny kontakt.

Mówiłam, że wieczorem matka przy myciu rozmawia z dzieckiem. Wychowawczyni po całodziennym dniu pracy, gdy wieczorem musi umyć czy wykąpać jeszcze 20 dzieci, i zawsze w pośpiechu — naprawdę nie może rozmawiać, zresztą dzieci przy myciu zawsze są najwięcej nieznośne, pchają się, często się kłócą, czują już zmęczenie wychowawczyni, wykorzystują to, czasem są kapryśne, bo zmęczone, senne, niektóre, przeciwnie, wieczorem podniecone. Który z kierowników nie był nigdy wychowawcą, lub nie zastępował wychowawcy przy wieczornym myciu grupy młodszych dzieci, to nie zdaje sobie sprawy, jaka to trudna chwila w życiu zakładowym, bodaj że najtrudniejsza. Od małego musimy nauczyć dzieci czystości, później trudniej będzie wdrożyć w to starsze dziecko.

Wychowawczyni powinna nauczyć myć się dziecko samo, zabiera to jednak tyle czasu, że woli już sama umyć, albo „niech już dziś tylko umyje ręce, nic im się nie stanie jak pójdą spać z brudnymi nogami, a zęby to już zawracanie głowy!"

W nocy dziecko czasem się budzi, boi się, a zmęczona wychowawczyni śpi mocno, nie słyszy cichego wołania, lub płaczu, który matka w domu zawsze usłyszy.

Strach jest rzeczą smutną i zostawia na charakterze dziecka głębokie ślady. Ja wiem, że dzieci boją się dorosłych w nocy

budzić. Nigdy nie gniewałam się na moje dziecko, jak mnie w nocy budziło, a prawie za każdym razem, gdy już je utuliłam i uspokoiłam szeptało: „mocno przepraszam, nie gniewaj się, że cię obudziłam". Sama z dzieciństwa pamiętam, jak bałam się obudzić starszych. Dzieci wstydzą się zawsze swoich strachów. A musimy pamiętać o tym, że nasze dzieci, które przeszły wojnę, okupację, bombardowanie, nocne walenie gestapo w drzwi, nawet te najśmielsze w dzień, w nocy zbudzone boją się.

Dziecko musi wiedzieć w takiej chwili, że ma kogo zawołać, że ktoś czuwa nad nim, że go pilnuje, musimy mu dać to uczucie bezpieczeństwa. Ale nie żądajmy cudów od wychowawczyni.

Wychowawczyni mając 15—20 dzieci małych, musi mieć do pomocy praktykantkę lub tak zwaną opiekunkę. Opiekunka śpi z dziećmi, ubiera je rano, jest przy posiłkach z dziećmi, do niej należy utrzymanie sypialni i bielizny osobistej i ubrania dzieci, bo fikcją jest, aby jedna krawcowa utrzymała bieliznę i ubranie całego zakładu. Do niej wracają dzieci na „ciszę", gdy odpoczywają.

Opiekunka myje dzieci. Może sobie rozdzielić to mycie: część dzieci przed kolacją, inne po kolacji. Do niej należą głowy dzieci, bo także jest fikcją, aby jedna higienistka mogła dopilnować 60—80 główw, a dzieci, które chodzą do szkoły muszą być kilka razy na tydzień kontrolowane i wyczesywane gęstym grzebieniem.

Opiekunka ma mnóstwo zajęcia, ale ma pracę spokojniejszą, nie jest ciągle w kontakcie z gromadą dzieci, które musi opanować. Myjąc lub wyczesując ma czas rozmawiać z dzieckiem, są oboje sami w sypialni. Małe dzieci lubią rozmawiać z dorosłymi, ale często nie umieją się wypowiadać.

Małe dzieci są skryte o wiele więcej niż przypuszczamy. Gdy widzimy dziecko przygnębione i zapytamy, dlaczego jest smutne, najczęściej nie odpowiada albo zaprzeczy. Są dzieci, które o swoich smutkach i troskach nie lubią mówić, wstydzą się, nie lubią nawet o tym myśleć. Ile razy słyszałam jak dzieci umawiały się przed zabawą: „bawimy się, że wojny w ogóle nie było, że wszystko jest dobrze, że nikt nie umarł". Miesiącami nieraz dziecko nie zdradza ciążącej mu na sercu tajemnicy. Po miesiącach np. słyszałam od dzieci: „myśmy widziały, że pani Lucyna miała schowane gazetki w sienniku i dlatego bałyśmy się tak bardzo, jak było gestapo." A jak gestapo było, to były

tak swobodne, tak się bawiły dalej, jakby w ogóle nie zdawały sobie sprawy. Tyle razy się słyszy, że dzieci zapominają; małe dzieci robią takie wrażenie, obserwowałam jednak tyle razy, jak bardzo małe dzieci ukrywają swoje uczucia, jak nie chcą się martwić, jak chcą zapomnieć. To właśnie jest samoobrona dziecka. Nie chciałabym tu dać obrazu idealizującego małe dzieci, wiem doskonale, że jak wśród dorosłych ludzi tak i w każdej grupie są dzieci różne: proste, ufne, szczere, ale także nieufne, fałszywe, złośliwe, przewrotne, bezczelne i bierne, męczące, natrętne, nieprzyjazne, nierówne, ciche i smutne, krzykliwe, wesołe, pełne fantazji, nudne, bezbarwne, ale wszystkie mają jedną cechę, że są bezbronne, nie mogą sobie same poradzić, szczęście ich w głównej mierze zależy od nas.

Toteż kierownictwo domu mieszanego pamiętać musi o nich niemniej niż o swoich starszych wychowankach i musi je otoczyć troskliwą opieką, bo więcej jej może potrzebują niż starsi.

Czy starsze dzieci mogą i powinny pomagać przy młodszej grupie? Wydaje mi się, że tak, ale sprawa ta jest bardzo delikatna i wymaga ogromnie czujnej obserwacji.

Starsze dzieci mają często o wiele większy posłuch niż wychowawca i są wychowawcy, którzy bardzo lubią wyręczać się starszymi dziećmi. Rezultat nie zawsze jest dobry. Widziałam jak 16-letniemu chłopcu 5—6-letni chłopcy buty czyścili, łóżko słali, a gdy się oburzyłam, powiedział: „ja im nie każę, oni sami chcą." Wśród dzieci zrobiły się dwie klasy: ci, co usługiwali mu i donosili, inni, co się bali i nienawidzili.

Kiedyś miałam chłopca w wieku 15 lat, który naprawdę niejednego wychowawcę mógł spokojnie zastąpić, ale to należy raczej do wyjątków. Jeżeli nam, którzy z zamiłowaniem oddaliśmy się tej pracy, trudno być dobrymi wychowawcami, to czego żądać możemy od dzieci. Pomoc starszych dzieci przy młodszych lepiej wyzyskać nie dyżurami, nie obowiązkami stałymi, ale raczej wtedy, kiedy powstaje ona z aktualnej potrzeby np. gdy wychowawca zachoruje. Bardzo dobre miałam rezultaty zwracając się do strony uczuciowej dziecka: np. Jasiowi trudno się uczyć, ma zaległości, może kto podejmie się go podciągnąć. Gdy dziecko jest chore, inne bardzo chętnie doglądają je.

Ze starszymi dziećmi możemy dzielić się naszymi troskami tłumacząc im trudności, które mamy z niektórymi młodszymi dziećmi, np.: ten potrzebuje, aby mu więcej serca okazać, tamten znów pomocy w nauce. Wskazane jest zwracać się raczej

z prośbą w indywidualnych wypadkach, dziecko starsze poznaje wtedy bliżej młodsze i nawiązuje z nim przyjazny, rodzinny kontakt.

Mówiliśmy już, że w domu dziecka tworzą się dwie grupy: młodszych i starszych. Młodsze potrzebują trochę innego rozkładu dnia, więcej snu, troskliwszej opieki. Ale mimo to nie mogą być te dwie grupy tak od siebie odłączone, aby tworzyły zakład w zakładzie, pamiętajmy, że dom dziecka jest jedną rodziną. Przy zbiórkach, przy posiłkach wszystkie dzieci muszą być razem zgromadzone. Niedziela też raczej jest dniem wspólnym. Jeżeli starsze dzieci urządzają jakieś przedstawienie, jakąś zabawę, młodsze choć w części programu powinny brać udział. Naturalnie że pójdą wcześniej spać, ale jakie dumne są i szczęśliwe, że brały udział w zabawie starszych. Dla młodszych dzieci grupa starszych jest czymś niesłychanie pociągającym; życie starszych dzieci zaciekawia je, zazdroszczą im pewnych przywilejów, ale ta zazdrość jest zdrowa, bo podświadomie czują, że przyjdzie na nie kolej, że będą tymi starszymi. Ten kontakt ze starszą grupą rozwija grupę młodszą.

Jadwiga Strzałecka.

SKARŻYPYTA

W domu dziecka dzieci skarżą. Wychowawcy wytaczają temu walkę.

Jedna z wychowawczyń domu urodziła córkę. Sześcioletni Franek biegnie do drugiej wychowawczyni z nowiną: „pani wie, pani wie, pani Iza ma małe dziecko!” Obecny przy tym Antoś sepleni ze zgorszeniem: „ty skarzypyto!”

ŚWIAT WYOBRAŹNI DZIECKA — DZIWNY ŚWIAT

Redakcja podaje wyjątek z pięknej książki Z. Rogoszówny pt. *Pisklęta*, wprowadzający czytelnika w świat zabaw i fantazji małego dziecka.

Czy Haluśka dlatego tak się ładnie bawi, że jest jedynaczką zamożnych rodziców?

Nie. Obdarzona jest niezwykle żywą wyobraźnią, lecz to jeszcze nie wszystko. Bawi się tak, bo matka opowiada jej bajki, z których dziecko czerpie podnietę do fantazjowania, bo ma materiał do zabawy: domek z kart uszyty przez matkę, blaszane laleczki, drzewko zrobione w najprostszy sposób, bo ma możność skupienia się, bawienia się w ciszy i spokoju.

Podobnie, jak Haluśka, będą się także bawiły dzieci w domach dziecka. Musimy wprowadzić je tylko w świat bajki, porobić najprostsze zabawki, dać zaciszny kącik, w którym mogłyby się bawić pojedynczo lub małymi grupkami.

Dzieci w zakładzie nie są inne, niż dzieci domowe. Są takie same i to samo będą umiały — jeśli im pozwolimy.

Pod jednym spojrzeniem Halusi pokój, stół, krzesła zamieniają się w bardzo wielki las, dywan w „duzią wodę", a otwarty piec, znudzony bezczynnością, sam się prosi, żeby go użyto jako ciemnej trochę, ale suchej i bezpiecznej jaskini.

Wszystko zawsze zaczyna się od Pięknej Tup-Tup.

Tup-Tup jest wprawdzie dwa razy większa od swego Patataja, ale oboje są zrobieni z blachy i dlatego zapewne kochają się tak serdecznie. Piękna Tup-Tup mieszka w środku ludzikowego kraju, w domku, uszytym z trzech kart przez mamuńkę. Domek jest otoczony wielkim „błądzącym lasem". Wyobrażeniem tego lasu są dwa drzewka, wyjęte z Arki Noego, przypominające zielony naparstek, nadziany na patyczek, przyklejony do żółtego krążka. Za tym lasem daleko, daleko, czasem w fałdach portiery, a czasem aż na drugim oknie, mieszka rycerz Patataj, który przyjeżdża do Pięknej Tup-Tup na białym koniku na biegunach. (Co niedziela, jak tatuś!). Ale zdarza się, że „dzielny lycez Patataj, jedzie śobie w inny klaj" het, daleko, aż do stołowego pokoju. Wtedy Piękna Tup-Tup chodzi i chodzi naokoło domku z kart:

i maltwi się i smuci,
ze juz lycez nie wlóci
i baldźo maltwi i ślocha,
ze juz lycez Patataj nić biednej Tup-Tup
nie kocha!

Zupełnie tak, jak Baranna, kiedy jej mąż pojechał do innych krajów. Tup-Tup się boi, że rycerz Patataj nie wróci tak samo, jak mąż Baranny, bo nie wie, że rycerz już jedzie do niej, tylko jest jeszcze daleko — daleko... I Tup-Tup płacze i tak jej smutno, że aż idzie naprzeciw. Tup, tup, tup, tup, tuptają nóżki. Jedna stoi na ziemi, druga w powietrzu, trzecia i czwarta już się ukazują spod blaszanej sukienki. (Wszystkich nóżek jest sześć i jak Tup-Tup zacznie się bać jeszcze więcej, to będą biegały tak prędko, jak radełko od maszyny mamy). Idzie, idzie, idzie, aż doszła do dywanu i pyta bardzo grzecznie:

Powiedz, plosę, pani zeko,
cy Patataj jest daleko?

A dywan odpowiada grubym głosem, jakim zwykle przemawiają czarownice w bajkach, układanych przez Baranusię:

A cego ty mnie źbudzilaś,
kiedy ja się jeśce nie wyśpalam,
i choćby wiedzialam, to by tobie
nic nie powiedzialam!

Wtedy Piękna Tup-Tup zaczyna płakać, ale to tak płakać, że wodzie robi się przykro i mówi, że ona tylko żartowała, a naprawdę to rycerz Patataj jest niedaleko:

za siódmą gólą,
za siódmą zeką...

Tup-Tup ślicznie dziękuje i idzie dalej „i się ziabląkuje", bo wielki las jest naokoło. Tup-tup boi się bardzo, bo „puhacze puhają i kluki klukają" i dzikie zwierzęta ryczą. Tup-Tup nie wie, że zwierzęta są zamknięte w Arce Noego i nic nikomu złego nie robią, bo są „śwojśkie", tak, jak Wisła i Kita i tylko się tak śmieją do murzyniątka, które się z nimi bawi. Tup-Tup myśli, że zwierzęta ciągle jeszcze dzikie i że najpierw ją zjedzą, a potem zjedzą Patataja — rycerza i konika bialego. Uhu! ryczą zwierzęta, a Tup-Tup biegnie naprzód z wyciągniętymi do góry rękami (dawniej miała w nich parasol, ale się urwał) i woła:

Gwaltu! lety! aj! aj! aj!
gdzie mój lycez Patataj?!

Tu następuje króciutka przerwa, bo Haluśka musi wyprowadzić z pieca „wąsatego ulana" i „panienkę". Czasem są to krasnoludki, czasem „takie źli zbóje, ćo się poplawili i juz potem byli doble". Zbójcy uspokajają Piękną Tup-Tup, że jak się tylko skończy noc, to rycerz się znajdzie. Ale Piękna Tup-Tup nie chce im wierzyć, bo nie wie, że oni są już „doble" i o mało, malo, a już by się utopiła, bo tak jest ciemno, „ze aź śtlach". Ale wtedy Halunia czym prędzej zamienia się w słoneczko, które wybiega z nieba, przeciąga się rozkosznie, mruga oczkami, a potem raz po raz przysiada nad podłogą, ogrzewając las i ludziki brzegiem czerwonej sukienki, malowanej w złote kłosy. I tak jak mówili zbójcy, zaraz z drugiego pokoju:

Tlu-tu; tu! tu! tlu! tu! tu! tu!
tląbi lycez Patataj:
Tup-Tup moja, buzi daj!

Ach, co za radość! Piękna Tup-Tup i Patataj padają sobie w objęcia i tak się mocno całują, że aż zaniepokojona Kita zaczyna gonić po pokoju z zadartym w górę ogonem.

Ale nie zawsze losy Pięknej Tup-Tup układają się tak pomyślnie. Czasem zabawa się urywa. Halusia coś mówi do siebie półgłosem, wzdycha, splata i rozplata rączki. Może zapomniała, co ma być dalej, a może chciałaby wymyśleć coś nowego. Biegnie wtedy po radę do mamuńki.

Tak się jakoś składa, że ile razy Halunia bawi się „z ludzikami", w saloniku jest za zimno i mama musi się położyć na swoim łóżku w sypialni. Haluni nie przeszkadza to najzupełniej, owszem, woli nawet, żeby ktoś był w pokoju, byleby tylko wcale nie uważał na to, co mówią i robią ludziki. Bo ludziki bardzo nie lubią, żeby się kto do nich wtrącał. Zaraz im się wszystko myli i już potem nie wiedzą, jak się dalej bawić. Ale mamuńka może zostać, bo tak jest zawsze zajęta robotą albo czytaniem, że nigdy nie wie, co się dokoła niej dzieje. A potem znowu Halunia jest tak zajęta, że także nie wie, co się z mamą dzieje. Nie widzi też, że mamuńka lekko pochyliła się naprzód, śledząc każdy jej gest, każde drgnienie głosu i wyobraźni ruchliwej, maleńkiej postaci. Usta mamy to zginają się w przelotnym uśmiechu, to poruszają się, jakby mama chciała coś powiedzieć. Ale nie mówi nic, patrzy tylko i słucha, ale tak jakoś, jakby miała przed sobą nie swoją, lecz inną jakąś Haluśkę.

A kiedy Haluśka pada przed Piękną Tup-Tup na kolana i błaga przejmującym, przerywanym łzami głosem:

Klólewno!
nie top się tak gwałtownie,
bo ciebie śkoda
zośtawić
umal — nię — tą —
na źawśe! . . .

Mamuńka wlepia oczy w zmienioną twarzyczkę Haluśki i patrzy na nią z takim zalęknieniem, jakby dopiero teraz spostrzegła, jak wielkie Pięknej Tup-Tup grozi niebezpeczeństwo.

A potem oddycha głęboko i, oparłszy głowę o poduszki, wolno, mechanicznie nawija nitkę jedwabiu na szydełko.

Ale niech Halunia tak, jak w tej chwili przybiegnie do łóżka mamy z zapytaniem:

— Powiedź, a co by było, zeby Patataja wilki źjadły?

Mamuńka milczy przez chwilę, a potem odpowiada z tym słodkim uśmiechem, po którym Halunia od razu poznaje, że mama nawet nie słyszała jej zapytania:

— O co ci chodzi, Haluśko?

Trudno, starsi nie zawsze mogą się zajmować zabawami dzieci.

MANIEK CHCE BYĆ JEDYNAKIEM

W praktyce swej spotykam się często z problemami, poruszonymi przez Adlera i ugruntowanymi w jego teorii, z problemami „zdetronizowanych jedynaków". Dziwnie to brzmi. Gromada podrzutków i — zdetronizowane jedynaki. A jednak tak jest w rzeczywistości.

W swojej grupie mam dzieci do lat siedmiu. Gdy dorastają, idą do innej wychowawczyni. Otrzymuję nową grupę dzieci, młodszych, trzyletnich. Z ich przybyciem, tych małych, bezbronnych, niesamodzielnych istotek zmienia się nastrój w grupie. Muszę zająć się „nowymi", „małymi" dziećmi. Odczuwają to bardzo boleśnie „średniaki", które dotychczas były młodszymi. Bardzo często mówią ze złością albo ze łzami w głosie: „Patrzno! Tylko „lejasami" się zajmują. Ważna sprawa!" Albo: „Ani piosenki, ani bajki w sypialni, tylko małe płaczą i już". Czasem przychodzą z żądaniem: „Odeślij z powrotem do Warszawy".

Nie pomagają słowa, pieszczoty, przekonywania. Dzieci od razu czują się nieszczęśliwe z powodu swojej „starszości" i ażeby znów zająć sobą wychowawczynię, stać się „małymi" zaczynają moczyć się, jąkać się, boją się psów, kotów, nocy itd.

Czas leczy wszystko! Powoli „nowe", „małe" dzieci stają się „starsze - stare". Stawiamy już jednakowe żądania w stosunku do wszystkich, gdyż poziom grupy wyrównał się. W grupie spokój, aż do przybycia następnej grupy malców.

Chcę opowiedzieć adlerowską historię małego Mańka. Maniek szczególnie silnie przeżywał swe osamotnienie, stworzył sobie sam rodzinę, którą zaakceptowaliśmy. Staraliśmy się zmniejszyć jego ból, ulżyć mu. Dużo uwagi, troski, myśli i uczuć oddaliśmy małemu Mańkowi, ażeby nie odczuł bólu, nie poczuł się „zdetronizowanym jedynakiem". Jednak przeżywał tragicznie, głęboko i rozpaczliwie. Jego mózg gorączkowo pracował nad problemem, jak się pozbyć małego intruza, który wdarł się w jego rodzinę.

Nasza praca nie poszła na marne! Myśmy wprawdzie nie znaleźli odpowiedniej formy, odpowiednich słów. Zagrzany na-

szym uczuciem Maniek sam jednak znalazł sobie odpowiedź. Dla nas trochę śmieszną, ale Maniek się uspokoił, a to najważniejsze.

Maniek jest podrzutkiem. Ma sześć lat. Świetny organizator grupowych zabaw. Dobrze rysuje. Esteta. Pierwszy zauważy zmiany w ubraniu, w uczesaniu wychowawczyni. Wyda swój sąd „ładnie" czy „nieładnie". Bardzo niecierpliwy aż do nerwowości, aż do psychopatii. I najważniejsze — Maniek tęskni do „prywatnego domu".

Czego szuka Maniek w „prywatnym domu"?

Trochę spokoju, po burzliwym życiu gromady? Może odrębności życia jednostki? Czy może poparcia moralnego, a może materialnego?

Trudno odpowiedzieć na te pytania. Możliwe, że wszystkie te przyczyny razem wywołały w Mańku potrzebę szukania „domu prywatnego".

I Maniek taki dom sobie znalazł, umocnił swoją pozycję w tym domu, zapuścił korzenie. We wszystkich dzieciach utwierdził przekonanie o przynależności p. Adama do siebie. P. Adam często do nas przychodził. Na początku, gdy p. Adam zjawiał się na naszym terenie, od razu wybiegały na spotkanie wszystkie dzieci, okrążały go, sypały się prośby, wyciągano do niego zepsute zabawki, aby zreperował, własne prace, aby je obejrzał i pochwalił itd.

Teraz dzieci, gdy tylko zauważą p. Adama, zaczynają szukać po terenie Mańka: „Maniek, pan Adam przyszedł. Szuka cię napewno".

I oto biegnie Maniek rozpromieniony, radosny, uśmiechnięty do swego p. Adama. Zawsze ma do niego „pełno" interesów, próśb, skarg. P. Adam zgłasza się do wychowawczyni, pyta o zachowanie się Mańka, spłaca jego długi. Gdy p. Adam gniewa się na Mańka — to największa kara dla niego. Rzadko używana.

Jeszcze jest jedna przyczyna, z powodu której Mańkowi jest dobrze u p. Adama.

Maniek majstruje. Zmajstrował kolej, samochód, radio. A p. Adam jest mechanikiem, ma w domu ogromną szufladę. Są tam kawałki drutu, śrubki, gwoździe, różnego rodzaju narzędzia elektrotechniczne, ślusarskie itd. Maniek, jedynie Maniek, ma prawo grzebać w tej szufladzie ile dusza zapragnie, bo to jest w domu p. Adama, w jego domu.

Maniek zna dokładnie plan zajęć p. Adama, co robi w domu i w fabryce, a największa radość dla Mańka, gdy p. Adam coś reperuje w domu, a on, Maniek pomaga mu.

Czas leci. Maniek dorasta. Ma przejść do pierwszej klasy, do starszej grupy. Jest wesoły, beztroski.

I nagle dowiaduje się, że p. Adam pojechał do miasta z żoną. Wrócą z małym dzieckiem, bo żona jest w szpitalu.

Maniek jest wstrząśnięty, podchodzi do wychowawczyni i pyta:

— Jak pani Adamowa urodzi dziecko, jak się będzie nazywał jego tatuś?

— Pan Adam.

— A czy pani Adamowa ogłosi dziecku, że pan Adam to jego tatuś?

— Oczywista, że mu powie.

Maniek zakłopotany milczy. Potem robi lekceważący ruch ręką: — To dziecko i tak będzie głupie, nic nie będzie rozumiało.

Maniek chwilowo się uspokaja. Głupie, małe dziecko i tak nie wykorzysta swego położenia.

Małe przyjeżdża. To dziewczynka. Mańka spotykają w rodzinie dziewczynki bardzo radośnie: dostaje podarunek z miasta i zapewnienie p. Adama, że on zostaje nadal starszym synem, bo ta mała dziewczynka nic przecież nie umie, ani pomagać przy pracy, nawet mówić — cóż za porównanie! On przechodzi do starszej grupy i wkrótce pójdzie do szkoły, a mała dziewczynka nawet do przedszkola nieprędko będzie mogła pójść.

Potem rozmawia z nim babcia dziewczynki, prosi by się zajął i zaopiekował matką i dzieckiem. Babcia musi już wyjechać daleko na wieś do domu. Jeżeli on jej obieca — wyjedzie spokojnie, bo wszyscy mówią, że on jest pracowity i odpowiedzialny. Maniek promienieje, uśmiecha się — szczęśliwy! Opowiada dzieciom, że nadal pozostaje starszym, bo na maleństwa przecież nikt nie zwraca uwagi, szczególnie na dziewczynki.

Maniek nadal przychodzi do domu p. Adama, czuje się dobrze. Wszystko po dawnemu. Wszyscy idą do pracy. Szuflada stoi jak zawsze przed nim otworem i sądziliśmy, że Maniek pogodził się z siostrzyczką.

Pewnego dnia jednak Maniek przygląda się długo dziewczynce i nagle zapytuje: — Panie Adamie, czy pies mógłby

pogryźć dziewczynkę? — Pewnie! ale poco się pytasz, przecież to boli, ona będzie płakać. — Nie — odpowiada Maniek — ja nie tak myślę, ja myślę inaczej. Zupełnie pogryźć, żeby nic z niej nie zostało, nawet kawałeczka. — Tego nie wiem, ale ty pewnie nie dopuścisz do tego, ty przecież jesteś jej opiekunem. Maniek zarumieniony i zawstydzony odpowiada: No, pewnie!

Czas mija. Z zewnątrz na pozór wszystko w porządku. Maniek jednak nie pogodził się z pojawieniem się dziewczynki, chce się jej pozbyć, a przejawia się to przede wszystkim w bajkach, które opowiada dzieciom w sypialni: — Był sobie siłacz. Duży siłacz, bardzo duży siłacz. On łapał małe dziewczynki, chłopców wcale nie łapał, tylko małe dziewczynki łapał — albo: — to policjant się rozgniewał i nawalił dziewczynkę. Dzieci dziwią się: — Co za dziewczynka, to przecież bajka o pożarze. — Już przyszła dziewczynka też — odpowiada Maniek.

W przedszkolu dzieci rysują temat „remont". Wybór dowolny. Jedne dzieci rysują zduna przy pracy. Inne — stolarza, pracę kanalizatora itp. Maniek rysuje oddzielnie, z dala od gromady, nie zwraca się o pomoc do wychowawczyni, całkowicie pochłonięty swą pracą. Kończy pracę i oddaje swój rysunek. Na papierze . . . : pies złapał dziewczynkę za sukienkę i rwie. Wychowawczyni pyta się:

— Maniek, coś ty narysował?

Maniek odpowiada zdziwiony: — „Nasz remont", wpierw omówiliśmy i ja narysowałem.

— Więc gdzie masz remont, czyją pracę narysowałeś?

— Narysowałem szlak na ścianę.

— Ależ tam nie ma takiego obrazka.

— Jest, niech się pani tylko dobrze przyjrzy.

Na szlaku kilka obrazków: Dzieci budują domek z klocków. Myśliwy wyszedł na polowanie oczywiście z psem. Pies stoi spokojnie, myśliwy jeszcze spokojniej i gdyby nie ubranie, nikt by się nie domyślił, że to myśliwy. Obrazki te są daleko od siebie i tylko fantazja Mańka i pragnienie, by się to stało, przyczynia się do tego, by Maniek oddzielił psa od myśliwego i oderwał dziewczynkę od grupy bawiących się dzieci, tworząc w ten sposób nowy obrazek, taki, którego tak bardzo pragnął.

Pewnego razu Maniek zauważył, że dziewczynka urosła.

— Ona już taka duża, ona prędko już mnie przerośnie.

— Nie, ona cię nigdy nie przerośnie. Ty przecież też rośniesz. Kiedy ona zacznie chodzić, wtedy ty już będziesz w dru-

gim oddziale. Jak skończysz szkołę zawodową i będziesz samodzielny, ona dopiero zacznie chodzić do szkoły powszechnej.

Maniek uspokaja się, a po chwili znów zapytuje: — A jak ona urośnie, to się ze mną ożeni? A pani pozwoli? Matka odpowiada: — Jak ty zechcesz i ona zechce, to ja pozwolę. — To my będziemy mieli na spółkę wszystkie znaczki, monety, zabawki, ja już nie będę trzymał na spółkę z Leteckim, tylko z nią, Letecki co chwila nie chce mieć spółki.

Po tygodniu Maniek pyta: — A może ona nie zechce. — O co pytasz — zapytuje matka. — A jak ona nie zechce się ze mną ożenić ta mała i nie zechce ze mną mieć spółki? — A może ty nie zechcesz? A jak nie zechcesz i znajdziesz innego wspólnika? Jak będziesz się dobrze uczył i nie będziesz się kłócił, to każdy zechce być twoim wspólnikiem.

Teraz Maniek uspokoił się już zupełnie, stał się prawdziwym przyjacielem małej. Śledzi za nią, robi jej zabawki, bawi się z nią. Skarży na nianię przed matką, że chyba skrzywdziła dziecko, bo czegoś mała płakała . . .

Jako dowód, że Maniek rzeczywiście pogodził się z małą posłużyć może długi dyktowany list, który Maniek nadesłał matce dziecka w „Dniu Matki".

Oto wyjątki: „. . . i życzę pani, by mała podrosła i żeby mogła za panią pracować, bo pani będzie stara i nie będzie miała sił do pracy. Żeby mała była grzeczna i żeby nie robiła pani zmartwienia". „. . . a jak ja skończę szkołę powszechną, to ja pójdę do szkoły zawodowej. Ja małej podaruję wszystkie moje książki i zeszyty. Jak będę samodzielny i zarobię dużo pieniędzy, to wszystkie pieniądze pani dam". Na tym koniec.

A może nie? Może znów się mylimy? Może to tylko chwilowe uspokojenie? Przyszłość nam pokaże.

Ida Merżan.

JĘDRUŚ

Jędruś nie ma jeszcze trzech lat, a panna Regina ma grubo więcej niż trzydzieści trzy.

Panna Regina jest bardzo pobożna, a Jędruś jest niefrasobliwy.

— Kogo najbardziej kochasz, Jędrusiu?

— Mamusię.

— A potem?

— Tatusia.

— A potem?

— Ciocię Ewę.
— A potem?
— Zbyszka.
— A potem?
— Mojego misia i kotka, i Bozię, i juz.

Nie podobało się pannie Reginie takie umieszczenie Bozi na końcu. Zrobiła więc piękny wykład Jędrusiowi o Panu Bogu, dodając na końcu, że Bozi jest smutno, jak Jędruś nie kocha Bozi najbardziej.

— Bo Pan Bóg jest wszędzie, wszystko wie i wszystko widzi.
— Tak, ale ...
— Ale co?
— Czy Pan Bóg chciałby się ze mną bawić?
— Pan Bóg bardzo kocha grzeczne dzieci, na pewno bawiłby się z tobą, gdybyś Bozię najbardziej kochał.
— Hm, ale, ale ...
— Ale co jeszcze, syneczku?
— Ja to najlepiej lubię bawić się w chowanego, a jak Bozia jest wszędzie i wszystko widzi, to co?

Podał St. Trębaczkiewicz.

PISMA DLA MŁODZIEŻY

Mamy ich kilka, Jedne stawiają sobie zadania węższe, skupiając swoją treść około pracy zawodowej, spółdzielczości i innych wybranych zagadnień, inne pragną poruszać całość problemów, obchodzących młodzież. Nie łatwa to rzecz — redagować pisma dla młodzieży. Zobaczmy w jaki sposób pisma wywiązują się ze swych zadań.

„Młody zawodowiec“ — entuzjasta pracy

„Młody zawodowiec“, pismo dla młodzieży średnich szkół zawodowych, wychodziło już przed wojną, obecnie kontynuuje swą pracę. Od razu należy powiedzieć, że jest to pismo bardzo ciekawe, przynoszące treść obfitą i rzetelną, pogłębiające wiadomości zawodowe, stosunek do pracy i światopogląd.

Pismo pragnie umiejscowić swego „zawodowca“, jako obywatela w czasie i w przestrzeni, stąd szereg ważnych artykułów, poświęconych zagadnieniom ogólnym. Dwa numery tegoroczne przynoszą takie artykuły, jak: „Nasze obowiązki wobec ziem odzyskanych“, „Cechy obywatela współczesnego“, „O formach organizacji przemysłu“ — omawiając problemy pierwszorzędnej wagi. Poza tym zawartość pisma stanowią artykuły o treści

fachowej dla poszczególnych zawodów. Omawia się wartość szkła i żelaza jako tworzywa, rozmaite rodzaje maszyn, silników, podaje się reportaże i informacje o szkołach zawodowych różnego typu. Dodać trzeba, że artykuły pisane są interesująco i przystępnie, reportaże — barwne, a często z humorem.

Pismo zdobią liczne fotografie i rysunki, stwarzając pociągającą całość.

Trudno o piśmie wydać sąd ogólny na podstawie tak niewielkiej ilości numerów. Stwierdzić w nim można pewne uprzywilejowanie niektórych zawodów (metalowcy, mechanicy), ale nie wiadomo czy następne numery nie będą poświęcone innym specjalnościom. Mało miejsca poświęca się zawodom kobiecym. Gdyby nie artykuł o żeńskiej szkole gospodarczej można by sądzić, że jest to pismo, przeznaczone wyłącznie dla młodzieży męskiej, dla której jest nieocenionym przewodnikiem, wśród zagadnień dotyczących pracy zawodowej. W każdej świetlicy, w każdym domu dziecka, w którym są chłopcy powyżej lat 14 pismo to powinno być prenumerowane. Artykuły w nim zawarte dostarczą materiału do wielu ciekawych dyskusji.

„Płomień“ — pismo dla młodzieży

Starszy brat — jak go nazywa Redakcja pisma — „Płomyka“, „Płomyczka“ i „Iskierek“ stawia sobie w pierwszym numerze ważne zadania wychowawcze. Na pierwszy plan wysuwa kształcenie charakteru.

Jak zwyciężyć w sobie zdradziecki posiew wojny?

Jak odzyskać poczucie bezwzględnej, niezależnej od niczego uczciwości, na której musimy budować przyszłe, zdrowe życie?

Jak odzyskać pewność, że tylko tą drogą możemy tworzyć naszą rzeczywistość, aby była sprawiedliwa i dobra dla wszystkich — rzuca „Płomień“ hasła do pracy.

Prócz pracy nad charakterem pragnie „Płomień“ pomagać młodzieży w osiągnięciu właściwego poziomu kulturalnego, pragnie wreszcie pomóc jej w zdobyciu trafnej miary w ocenie zagadnień, nurtujących ludzkość i w zrozumieniu współczesnych zmian społecznych.

Poważnie i rzetelnie przystąpił „Płomień“ do realizowania swych zamierzeń. Tak, właśnie p o w a g a jest cechą charakterystyczną „Płomienia“. To, co się mówi, jest przemyślane i poparte mocną wiarą w wartość wypowiedzianych słów. Jest to pismo głębokie i uczciwe.

W poszukiwaniu dróg dla młodzieży zwraca się „Płomień“ czasem w przeszłość, wywołuje sylwetki Filomatów i Filaretów, stawia wzory, przypominając postacie wielkich Polaków. Usiłuje dać głębsze spojrzenie na kulturę. Nawiązuje nici z kulturą starożytną, poświęcając jej prawie cały jeden numer, szereg artykułów poświęca też różnym dziedzinom sztuki.

Z drugiej strony współczesne zagadnienia zajmują również dużo miejsca na łamach „Płomienia“, znajdujemy tu artykuły poświęcone morzu polskiemu i ziemiom zachodnim, lotnictwu, sprawie robotniczej, spółdzielczości i innym.

Pomostem między historyczną przeszłością a teraźniejszością są lata okupacji, które często powracają na karty „Płomienia“. Mamy tu więc ciekawy ładnie napisany artykuł o tajnych kompletach, obrazki z powstania warszawskiego itp.

Strona literacka tych artykułów jest bez zarzutu. We fragmentach beletrystycznych, zamieszczonych w „Płomieniu“ zdarzają się nawet rzeczy o znacznej wartości artystycznej (jak „Opowiadanie Arkesilaosa“ Witolda Makowieckiego, rok I, Nr 4).

Jest więc „Płomień“ pismem bezsprzecznie wartościowym. A mimo to — czegoś brak „Płomieniowi“. Może za dużo jest w nim powagi i namaszczenia. Odbija się to szczególnie w listach i radach, zwróconych bezpośrednio do młodzieży (np. „Kartki z życia“ OZ). A przy tym w treści tych rad brak na ogół tego żywego stosunku do zagadnień współczesnych, jaki powinien cechować pismo dla młodzieży. Dla przykładu podam rady dotyczące wyboru książek. W dziale tym w przeczytanych przeze mnie ośmiu numerach pisma z obecnie wydanych, powojennych książek znalazłam tylko „Dziękuję Ci, kapitanie“ Fiedlera, „Kamienie na szaniec“ Kamińskiego i „Z krainy milczenia“ Żukrowskiego. A przecież tyle się ukazało wartościowych pozycji, które pomagają zorientować się w rzeczywistości, przeżywanej przez nas obecnie.

Spodziewać się można, że Związek Nauczycielski, który tak znakomity ma dorobek w zakresie pism dziecięcych i w swym piśmie dla młodzieży wprowadzi odpowiednie zmiany po okresie wstępnych doświadczeń. „Płomień“ ma dane po temu, aby stać się naprawdę dobrym pismem dla młodzieży. Wychowawcy powinni zachęcić młodzież do przesyłania redakcji swych uwag i dezyderatów.

„Młoda Rzeczpospolita“ — pismo młodzieży

Ta „Rzeczpospolita“ jest naprawdę młoda. Życie w niej wre i kipi.

Jest to zupełnie inny typ pisma — w zestawieniu z „Płomieniem". Mimo że jest tygodnikiem, ma wygląd i wiele cech dziennika. Chwila bieżąca znajduje w nim natychmiastowe odbicie. Artykuły są przeważnie krótkie, treść różnorodna, dużo fotografii i rysunków, dużo humoru. Pismo ma niewątpliwą siłę atrakcyjną.

„Młoda Rzeczpospolita" jest naprawdę pismem młodzieży, pracującej zresztą w koleżeńskiej zgodzie z dorosłymi. Redaguje pismo komitet młodzieży pod redakcją naczelną Witolda Balickiego. Powinszować można wyników takiego rozwiązania sprawy. Pismo jest żywe, interesujące, gromadnie przyciąga młodzież, która wypowiada się w licznych artykułach.

Pisze młodzież ze szkół średnich i młodzież akademicka. Na łamach „Młodej Rzeczypospolitej" toczy się zażarta dyskusja na temat konspiracji i powstania, w której zabierają głos pozytywiści i romantycy, czasem „skacząc sobie do oczu". Szerokie omówienia znajdują takie zagadnienia, jak sprawa ziem odzyskanych, morze, obszernie prowadzony jest dział „w Polsce i w świecie". Pełnym życiem tętnią reportaże z organizacji młodzieżowych, z obozów harcerskich, wędrówek krajoznawczych itp. We wszystkim widać duże wyrobienie młodzieży, jej postawę czynną, jej chęć dyskutowania i samodzielnego poszukiwania rozwiązań.

Udział młodzieży sprawia, że pismo jest żywe, natomiast współpraca wybitnych przedstawicieli literatury i nauki zapewnia wysoki poziom pismu. W „Młodej Rzeczypospolitej" spotykamy piękne artykuły o sztuce, językoznawstwie, wynalazkach itp. Czuje się w tym piśmie jakieś koleżeństwo młodych i dorosłych. Młodzi dopuszczeni do głosu, nieobciążeni poczuciem niższości, chętniej — bez przekory i buntu — oceniają wiedzę i doświadczenie „siwych włosów". Stwarza to specyficzną atmosferę pisma — nową, ciekawą, wyzwoloną, atmosferę najbardziej chyba właściwą dla młodzieży, która przeszła szkołę wojenną, miała okazje — i jeszcze jakie! — do wykazania samodzielności i która nie lubi być prowadzona „z góry" przez choćby najmądrzejszych przewodników.

„Płomień" i „Młoda Rzeczpospolita" to dwa różne typy pism. „Płomień" podaje wiadomości naukowe, obszerniejsze, bardziej usystematyzowane, pogłębia pracę szkolną, pracuje spokojniej i z „dłuższym oddechem". „Młoda Rzeczpospolita" przede wszystkim wprowadza w aktualną rzeczywistość. Obydwa są potrzebne. Obydwa mogą oddać wielkie usługi w pracy z młodzieżą.

Irena Skowronkówna.

JAK KORZYSTAĆ Z CZASOPISM

Głód książki, wywołany zniszczeniem księgozbiorów publicznych i domowych, wzmógł zamiłowanie do gromadzenia książek w większych i mniejszych skupiskach ludzi. Nie tylko szkoły ale również świetlice, domy dziecka, izby harcerskie itp. zabiegają o tworzenie własnych bibliotek, choćby miniaturowych księgozbiorów, ale na swój wyłączny użytek. Przeznaczają na ten cel fundusze nieraz z trudem zgromadzone.

Słuszne jest stanowisko, że w odbudowie i utrwaleniu kultury książka odgrywa niepoślednią rolę. Słuszne przeświadczenie, że bez opanowania umiejętności płynnego czytania i zżycia się z książką, spotykamy się z nawrotem analfabetyzmu. I nakazem chwili jest tworzenie bibliotek i rozprowadzanie książek w możliwie największym promieniu.

W zaspokajaniu czytelniczych potrzeb dzieci przychodzą nam z pomocą czasopisma dziecięce, bogate w treść i pomyślane na różne poziomy. Wymieńmy ich najważniejsze zalety:

Ważną i dodatnią cechą jest regularność w otrzymywaniu. Wiemy, że określonego dnia każdego tygodnia nadejdzie świeże słowo drukowane, które często zwiąże treść ze zjawiskami zachodzącymi w życiu społeczeństwa — będzie więc aktualne. Te właśnie artykuliki okolicznościowe możemy zużytkować i przyswoić czy to drogą głośnego czytania, czy zreferowania. Starsze dzieci są referentami poszczególnych działów. Więc np. stale, czy przez pewien okres czasu, jedno z wychowanków śledzi za wynalazkami, inne szuka wiadomości ze świata, czy życia wewnętrznego państwa, jeszcze inne zwróci uwagę na zagadnienia sportowe. Nabytymi aktualnymi wiadomościami dzieli się z gromadką rówieśników.

To byłby najpoważniejszy materiał, jaki nam przynosi czasopismo.

Bajki i opowiadania mogą być głośno (byle dobrze!) odczytywane i opowiadane (dzieciom młodszym).

Dłuższe opowiadanie, drukowane w paru kolejnych numerach czy powieść, zajmująca szpalty szeregu numerów, może pobudzić twórczość dzieci. W oczekiwaniu rozwiązania akcji (przez autora), mogą samodzielnie, ustnie czy piśmiennie, snuć dalsze wątki czy domyślać się zakończenia.

Te same opowiadania czy wiersze mogą być materiałem inscenizacji.

Dobrze zrobimy, jeśli zanotujemy sobie utwory okolicznościowe. Powinniśmy notować każdy wierszyk, czy urywek na oddzielnych kartkach. Oczywiście nie przepisujemy treści; odnotowujemy autora, tytuł oraz tytuł pisemka i stronicę. Kartki powinny być niewielkie, jednakowego wymiaru i przechowywać je trzeba w pudełku czy ew. kopercie, układając je według tematów (np. grupujemy temat jesień, Boże Narodzenie, morze, Tatry, Śląsk, życie fabryczne itp.). Tematy przegradzamy kartką odmiennego koloru z wypisanym, widocznym tematem.

Poza tym baśnie, opowiadania i powieści mogą jednocześnie służyć za temat wypowiedzi rysunkowych, które mają zwolenników, zwłaszcza wśród dzieci młodszych.

Zauważmy, że każde czasopismo dziecięce koresponduje ze swymi czytelnikami, odpowiadając imiennie i zbiorowo na nadesłane listy. Celem jest nie tylko poznanie środowiska i ściślejsze związanie dzieci z pismem. Redakcja, jeśli zechce, może w ten sposób trzymać rękę na pulsie zainteresowań dziecięcych i, zaspokajając je, powiększać zasięg swych wpływów.

Tak postępując można wykorzystać prawie każdą stroniczkę pisma.

Wspólne rozwiązywanie zagadek, rebusów, zgadywanek urozmaici i ożywi życie w świetlicy dziecięcej. Da się tutaj z łatwością zastosować pobudzanie dzieci do pracy drogą konkursów, np. kto trafnie rozwiąże w tym miesiącu najwięcej zagadek?

Spróbujmy również pobudzić twórczość dzieci w tym kierunku i przesyłać ich pomysły do redakcji, wraz z listami dziecięcymi, które co jakiś czas wyślemy w świat — pod adresem redakcji.

Nie należy pomijać żadnej podanej w pisemku gry czy zabawy. Nie wymaga to bowiem od nas żadnego wkładu materiałowego, a dzieciom da wiele chwil radosnych.

Wreszcie i na wkład czynny musimy się zdobyć. Przeczytajmy uważnie nadesłane numery Iskierek, Płomyczka, Płomyka, Świerszczyka i Przyjaciela, a znajdziemy tam na pewno wskazówki, jak zrobić laleczki-kukiełki na przedstawienie kukiełkowe; jak wykorzystać puszki od konserw na przedmioty codziennego użytku, jak sporządzić piórnik, czy teczkę na czasopisma lub zabawki choinkowe.

Te prace rzeczywiście wymagają od nas zainteresowania i zaabsorbowania przy gromadzeniu i rozdzielaniu materiału.

Dzieci chętnie, dobrze, pomysłowo zrobią wszystko. Ale musimy dać im do ręki odpowiedni materiał, niewielką ilość potrzebnych narzędzi pomocniczych (nożyczki, papier, tekturę, puszki itp.), oraz dogodne miejsce, gdzie mogą pracę rozłożyć i spokojnie wykonać.

Numery pism przechowane i oprawione w rocznik, będą cennym źródłem materiałów na wszelkie uroczystości i pomocą przy zajęciach w dni chłodne i słotne.

Barbara Groniowska.

Z KRAINY PIĘKNA

Są książki, które spływają w nasze ręce jak poselstwo z krainy piękna, jak dar bóstw łaskawych. Do takich książek należy *Porwanie w Tiutiurlistanie* Wojciecha Żukrowskiego.

Przedziwna ta książka, ni to baśń, ni to powieść awanturniczo-rycerska, mówi nam o niezwykłych przygodach trójki wiernych — na śmierć i życie — przyjaciół. Pierwszy z nich to kogut Marcin Pypeć, stary wiarus posiwiały w bojach. *Na mundurze kilka spłowiałych wstążek od medali — to za czyny waleczne... Mundur na nim wyblakły, połatany, ale trąbka na plecach przewieszona lśni jak lipcowy księżyc, a trzy połamane pióra w ogonie kołysze rycerski wiatr. Stąpa ciężko, bijąc podkutymi butami, a stępiony dziób wietrzy przygodę.* Obok koguta kroczy lisica Chystraska. *Nie znać na niej trudów wędrówki. Futerko ma w dobrym stanie, na głowie kapturek, w łapkach torbę i parasolkę. Na końcu kity jak motyl na szałwi kołysze się pąsowa kokarda. Wylizany pyszczek ma trochę przypudrowany, a może to tylko zachodzące słońce tak pada.* Chytraska to elegantka i wykwintnisia, lecz w wędrówce nieoceniona i usłużna towarzyszka, pełna czułych uczuć rodzinnych, marząca o spokojnej pracy w charakterze gospodyni proboszcza. Trzecim z trójki jest kot Mysibrat Miauczura, prostaczek o poczciwym sercu. Oto bohaterzy opowieści.

Tłem ich przygód jest wojna między dwoma groteskowymi królestwami: Tiutiurlistanem i Blablacją, których same nazwy brzmią groteskowo, a za źródło mają jakby gaworzenie dziecięce.

W swej książce *Z kraju milczenia* przejawił Żukrowski wybitny temperament żołnierski. Doszedł on do głosu i w *Porwaniu.* Tajemnicą talentu autora jest, w jaki sposób zdołał on stworzyć obraz prawdziwej bitwy, mimo, że opisuje groteskową walkę, w której strzela się zepsutymi jabłkami i kluskami z makiem. Pewną ręką kieruje autor uwagę czytelnika to na masy „rycerstwa", to na poszczególne postacie. Otacza nas zgiełk i rozgwar bitewny, a wszystko ujęte w ramy jakichś wojen średniowiecznych, wśród machin oblężniczych, podstępów (chciałoby się powiedzieć „forteli") i rozgłośnych fanfar, zagrzewających do boju.

Te pierwiastki batalistyczne łączą się w *Porwaniu* w jedną całość z innymi, wyrażającymi jakąś zmysłową radość życia. Tętni w tej książce jakby nastrój święta ku czci Dionizosa. Najważniejszym nieledwie składnikiem walk są wspaniałe uczty, szczęk oręża miesza się z dźwiękiem kielichów na suto zastawionych stołach, z omszałych butli szeroką strugą płynie wino. I chociaż wyczuwamy w tych opisach pobłażliwą satyrę, nie przekreśla to wymowy tych scen. Wszak nawet wędrówkę trojga przyjaciół autor chętnie rozjaśnia opisem śniadań w gospodzie, zebraniem koleżeńskim przy dzbanie wina, lub darowanym koszyczkiem wiktuałów, w którym zawsze niepośledną rolę gra omszała butelka opleciona sitowiem.

Czy plastyka tych opisów wysuwa zagadnienie walki lub użycia na plan pierwszy? Nie. Zgiełk bitew i uczt pozostaje zgiełkiem, niezróżnicowaną gmatwaniną dźwięków i barw, która zwolna odpływa na plan dalszy, stając się tłem dla właściwej akcji, jaką są przygody trojga przyjaciół. Trójka wędrowców przeżywa zmienne koleje losu, w których wierność w przyjaźni wystawiona jest na ogniowe próby.

Ta akcja ma bieg wartki i pasjonujący. Rozwija się konsekwentnie, ustawicznie się wzbogacając i pochłaniając uwagę czytelnika. Podziwiać trzeba precyzję budowy opowieści. W skomplikowanej jej treści każda postać ma wyznaczoną sobie rolę charakterystyczną dla siebie, a niezbędną dla budowy całości. Prócz trojga przyjaciół występuje tu „czarny charakter“ — cygan Nagniotek i „słaby charakter“ — handlarz Koziołek, „dobrzy opryszkowie“ i wiele innych postaci. Ogniwem łączącym wszystko w całość jest osoba Wiolinki, porwanej królewny.

Wiem, jakie zarzuty spaść mogą na tę książkę ze strony wychowawcy. Czujne jego oko wyśledzi scenę tortur, atak siedmiu grzechów na Cygana Nagniotka, kilka słów żołnierskich, rubasznych. Tak, to prawda, te sceny, te słowa są w książce. Wprawdzie gdy się dobrze przyjrzymy, stwierdzimy, że owe sceny wprowadzone są zawsze w ten sposób, że dzięki nim ma uwydatniać się jakaś wartość moralna (tortury są miarą bohaterstwa i wierności kota Miauczury. Atak grzechów na Nagniotka jest kulminacyjnym punktem pognębienia zła, ucieleśnionego w czarnym charakterze Cygana, lecz są zbyt naturalistyczne i kierować mogą wyobraźnią czytelnika na niepożądane tory. Jednak te sceny nie mogą przesłonić dużych wartości moralnych książki, tak jak owe słowa niepożądane nie mogą nam przesłonić niezwykłego czaru języka.

W książce na plan pierwszy wysuwają się wartości moralne. Poczciwy kot Miauczura jest przyjacielem myszy — i myszy w podzięce ratują go od śmierci. Bohaterska boża krówka, Trzykropka, nie waha się poświęcić życie w obronie tej, która okazała jej swą dobroć. Królewna Wiolinka, ku radości czytelnika, odzyskuje dawne gorące serce. Wzruszenie ogarnia nas gdy trójka wędrowców w imię przyjaźni składa w ofierze to,

co ma najdroższego, a jest to wzruszenie płodne, prowadzącc do pogłębienia uczuć moralnych.

Nie zawahał się autor pójść tak daleko, aby kazać staremu kogutowi złożyć życie w obronie przyjaciół. Kogut ginie w bohaterskiej walce. Lecz śmierć jego nie pozostawia po sobie przygnębienia. Pypeć odchodzi w glorii chwały, a na jego miejsce wstępuje syn jego, pogrobowiec, swym imieniem — Epikurek — głoszący afirmację życia.

Wiara w wartość dobra i w piękno życia — oto co bije ze stronic *Porwania w Tiutiurlistanie.*

To wszystko przemawia tym bardziej do czytelnika, że ujęte jest w formę pełną niezwykłego uroku.

O właściwościach stylu Żukrowskiego pisano niejednokrotnie. Podnoszono niezwykłe bogactwo jego języka, połączone z prostotą, świeżość i oryginalność metafor, wielką obrazowość, a w opisach przyrody szczególne uchwycenie polskości krajobrazu, jak gdyby samej treści, samej istoty naszej ziemi.

Świat cały ożywa i staje się bliski pod czarodziejskim dotknięciem jego pióra. *Z nieba czasem jakaś gwiazda, zapatrzona we własne odbicie runie zieloną błyskawicą w staw,* a *...księżyc chodził nad lasem i wymachując latarnią przyzywał gromady ulatujących gwiazd.*

I znowu wchodzili w brzezinowe zagaje, na polany zarosłe wrzosem jeszcze nierozkwitłym... Nagrzane igliwie pachniało odurzająco, jarzębiny na polanach już przymierzały korale, a leszczynowe orzeszki pełne były miękkiej, cierpkiej waty. — Trzeba sercem wrażliwym mocno odczuwać urok kończącego się naszego lata, aby móc napisać takie zdania.

Jest wreszcie książka Żukrowskiego książką niezmiernie bogatą w skojarzenia i reminiscencje literackie, obejmujące literaturę polską i obcą, czasy współczesne, średniowieczne i starożytne. Lecz to właśnie może być nowym zarzutem ze strony wychowawców. „Piękne to, ale trudne“ — powiedzą. Dzieci przecież tego nie zrozumieją. Nie słyszały nigdy o Don Kichocie. Nie wiedzą, kto to był Hannibal albo Szekspir.

I to jest prawdą — ale i to nic nie szkodzi. *Porwanie w Tiutiurlistanie* jest książką, że tak powiem „warstwicową“. Im dojrzalszy czytelnik, im bardziej oczytany, tym więcej w niej odkryje. W imieniu krawca Laokoona dziecko nie ujrzy nic poza dziwnym dźwiękiem. Dorosły człowiek zrozumie, że w lotnej wyobraźni autora metr krawiecki upodobnił się do węża i podsunął to właśnie imię. Inaczej dziecko, a inaczej dorosły będzie patrzył na przyczyny wojny między dwoma królestwami, ono — widząc w tym tylko rzecz zabawną, on — chęć podkreślenia absurdalności istnienia wojen w ogóle.

Na zakończenie powiem, że wraz z wychowawcami pragnęłabym, aby dla zupełnej harmonii niektóre słowa były pominięte, niektóre sceny zła-

godzone (szczególnie scena ataku siedmiu grzechów, przypominająca złe tradycje bajek grimmowskich). To wszystko nie zmienia jednak faktu, że stoimy przed książką niezwykłą. Stwierdzić musimy z radością, że naszej literaturze dziecięcej, zasobnej w rzeczy dobre, lecz ubogiej w wybitne, przybyło dzieło o niepowszedniej wartości.

Irena Skowronkówna.

SPIS WYDAWNICTW DLA DZIECI

(książki nowe)

Znaki:

Bierzemy pod uwagę przeciętny poziom szkoły podstawowej.

I — dzieci od 7 do 9 lat — * — książka dobra
II — dzieci od 9 do 11 lat — ** — książka b. dobra
III — dzieci od 11 do 14 lat — *** — książka wybitna
IV — powyżej lat 14

Książki oznaczone znakiem I nadają się również do głośnego czytania dzieciom w wieku przedszkolnym.

Gajdar Arkady: TIMUR I JEGO DRUŻYNA (przekł. autoryzowany H. Jarmolińskiej) [Warszawa] 1946 Czytelnik s. 89, 1 nlb. Biblioteczka Młodego Czytelnika. Przekłady z literatur obcych 1.
Dobra książka, interesujący temat: gromada chłopców tworzy tzw. drużynę Timura; celem zespołu jest niesienie pomocy ludziom, głównie rodzinom żołnierzy, będących na froncie. Książka odznacza się wysokim poziomem etycznym, a jednocześnie umiejętnością zainteresowania czytelnika: tajemniczość, otaczająca drużynę Timura, walka z bandą innych chłopców, wreszcie humor — będą czynnikami przyciągającymi, ukazując jednocześnie czytelnikowi, że dobroć nie musi być nudna. (III, **)

Gardecki Józef: BYŁO NAS TRZECH. Wyd. III. Warszawa 1946, Wiedza, s. 205, 180 zł.
Dzieje trzech przyjaciół, terminatorów w cyzelarni. Dobrze uchwycone środowisko, trafne psychologicznie typy, pęd trzech chłopców do wiedzy, do piękna, postawa ich wobec życia (książka ma cechy autobiograficzne), stwarzają całość żywą i bliską czytelnikowi. (IV, **)

Rymkiewicz Władysław i Tuhan Bohdan: CZŁOWIEK O DWOCH TWARZACH. Powieść historyczna dla młodzieży. [Warszawa] 1945. Czytelnik. 80 zł.
Zajmująca powieść z czasów najazdu szwedzkiego, napisana dobrym, archaizowanym językiem na wzór „Trylogii". Ładnie ujęta postać Grzesia, tchórza i śpiocha, który bohaterską śmiercią okupuje swoje winy. (III)

Świrszczyńska Anna: O KRAKOWSKIM ŻACZKU. Kraków [1946], Krzyżanowski, s. 15, 1 nlb.

Wierszowane opowiadanie o wesołym żaku, który gardził złotem, a kochał swobodę i śmiech. Myśl i forma ładna, chociaż trudna. Strona graficzna przeznacza książeczkę dla dzieci najmłodszych, a tematyka i język czynią ją dostępną dopiero dla czytelnika, który posiada już pewne „wyrobienie" literackie. (I, II)

Wiszniewski Ludwik: OŁOWIANY DOBOSZ. Ilustr. Cz. Wielhorski [Warszawa] 1946, Czytelnik, s. 32, 100 zł.

Bardzo dobra książeczka dla małych dzieci. Zbiór wierszyków o dużej rozpiętości tematów i nastrojów; znajdziemy tu uwzględnione pory roku, rzemiosła, wierszyki o zwierzętach i motywy fantastyczne. — „Ołowiany dobosz" nadaje się do głośnego czytania już w przedszkolu, do samodzielnej lektury, do inscenizacji. (I, **)

Żukrowski Wojciech: PORWANIE W TIUTIURLISTANIE. Ilustr. Adam Marczyński. Kraków [1946], S. Kamiński, s. 260, 350 zł.

Książka na pograniczu baśni i poematu rycerskiego. Przygody trojga przyjaciół, koguta, kota i lisicy, opiekunów małej, kapryśnej księżniczki, przenoszą czytelnika na przemian od baśni do ballady rycerskiej, od groteski do dramatu. Trudno orzec, do jakiego rodzaju literackiego należy ta niezwykła książka, w każdym razie jest dziełem prawdziwego poety. Wydanie dobre. (III, ***)

WZNOWIENIA

Collodi C.: PINOKIO. Przygody drewnianej kukiełki. Warszawa 1946, Wiedza. 220 zł.

Niezwykłe przygody drewnianego chłopczyka, zakończone przekształceniem kukiełki w człowieka. Wraz z przemianą duchową następuje przemiana cielesna. Baśń, pełna fantazji i humoru, posiada duże zalety wychowawcze, podane w niezwykle zajmujący sposób. Wydanie dobre. (II, III, ***)

Grabowski Jan: EUROPA. Prawdziwa historia o kotce. Warszawa 1946. Nasza Księgarnia, s. 45, 80 zł. (II, **)

FINEK. Opowiadanie o psie. Wyd. VI. Warszawa 1946. Nasza Księgarnia, s. 117, 1 nlb. 80 zł. (II, **)

PUC, BURSZTYN I GOŚCIE. Warszawa 1946. Nasza Księgarnia. 80 zł. (II. III, **)

Opowiadania Grabowskiego o zwierzętach są jedyne w swoim rodzaju. Ich humor jest niezrównany, plastyka postaci znakomita. Chociaż wesołość jest dominującą cechą książek Grabowskiego, nie przesłania jednak szczerej sympatii i przywiązania, jakim autor obdarza opisywane przez siebie zwierzęta.

Höcker Oskar: OLIMPIJCZYK. Opowiadanie historyczne z czasów Peryklesa (oprac. Maria Konopnicka). W-wa 1946, S. Arct, s. 217, 225 zł.
Książka Höckera zbliża i ułatwia czytelnikowi zrozumienie epoki, ukazując nie tylko polityczne, ale i codzienne życie Greków. (III, IV, *)

Januszewska Hanna: SIWA GĄSKA, SIWA... (Ilustr. Z. Jakimowiczówna) Warszawa 1946. Nasza Księgarnia, s. 64. 180 zł.
Uczucie autorki dla Mazowsza zostało ujęte w piękną, poetyczną formę. Rysunki ładne, druk dobry. (II, **)

Morcinek Gustaw: GWIAZDY W STUDNI. Katowice 1946, ZNP Śląsk. 250 zł
Powieść z życia górników. Dominującą nutą powieści jest przemiana duchowa wykolejonego chłopca Hanysa. Książkę cechuje, charakterystyczne dla twórczości Morcinka, głębokie zrozumienie i wiara w człowieka. (III, **)

Parandowski Jan: PRZYGODY ODYSSEUSZA. Opowiadania dla młodzieży według Odyssei Homera. Warszawa 1946. Trzaska, Evert i Michalski, s. 86, 1 nlb. 100 zł.

WOJNA TROJAŃSKA. Opowiadania dla młodzieży wg Iliady Homera Warszawa 1946, Trzaska, Evert i Michalski, s. 67, 90 zł.
Iliada i Odyssea w opracowaniu Parandowskiego stanowią cenną pomoc zarówno dla ucznia jak i dla nauczyciela. Uczniowi ułatwią uchwycenie i zrozumienie treści epopei, nauczycielowi dadzą gotowe opowiadania, którymi może zainteresować uczniów i zachęcić ich do przeczytania całości. Książki Parandowskiego nie są suchym streszczeniem, pisane piękną obrazową prozą, przeplataną cytatami, stanowią interesującą lekturę. (III, **)

Potemkowska Wacława: WIELKI SPÓR W V KLASIE. Warszawa 1946, Trzaska, Evert i Michalski, s. 131, 300 zł.
Na tle błahej sprzeczki dwóch chłopców, w ramach szablonowego pozornie opowiadania z życia szkolnego, autorka stworzyła powieść o dużych walorach psychologicznych i wychowawczych. (III, **)

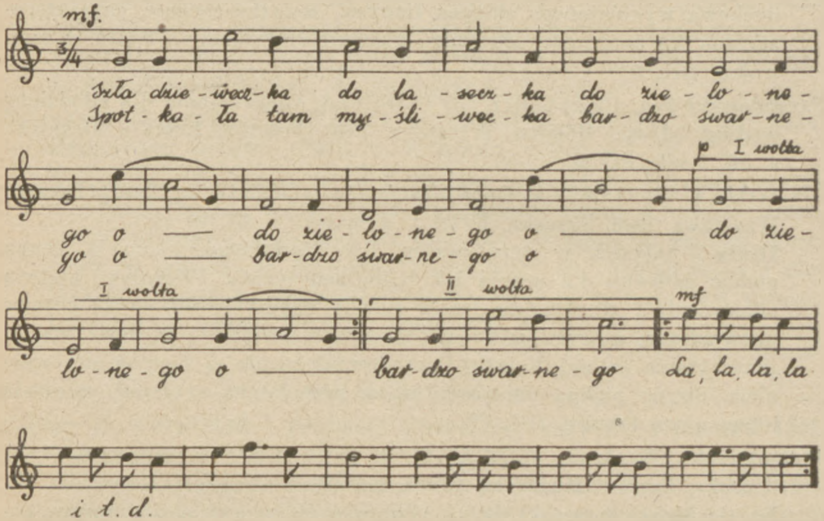
Zarembina Ewa: ZUCH. Powieść dla dzieci z ilustracjami T. Gronowskiego. Warszawa 1946. Nasza Księgarnia, s. 148.
Opowiadanie o przygodach małego Tomka Modronia, wiejskiego chłopca, który wędruje do Warszawy w poszukiwaniu chorej matki. Książka oprócz wartości wychowawczych i literackich posiada duże zalety narracyjne. Poza tym stanowi jedną z niewielu w naszym piśmiennictwie łatwych powieści dla dzieci. (II, *)

Żurakowska Zofia: ROMAN I DZIEWIĘTNASTU. Warszawa 1946. „Książka", s. 116, 110 zł.
Tematem powieści jest wspólna praca uczniów 7 klasy gimnazjum dawnego typu nad budową sali zebrań przy szkole. Na tym tle autorka przedstawia szereg doskonale odmalowanych charakterów i walkę

o władzę dwóch przywódców klasy: Romana i Marka. Myśl przewodnią utworu autorka zamyka w następujących słowach: „Jeden człowiek rusza bryłę z posad w wielkim trudzie, a potem wszyscy już razem toczą ją dalej i zwykle spychają go wtedy z przodującego miejsca. Nie ma się czym przejmować, przecież najważniejsza rzecz się stała. Bryłę ruszono z posad.“ (III, **).

Stefania Wortman.

Melodia ludowa

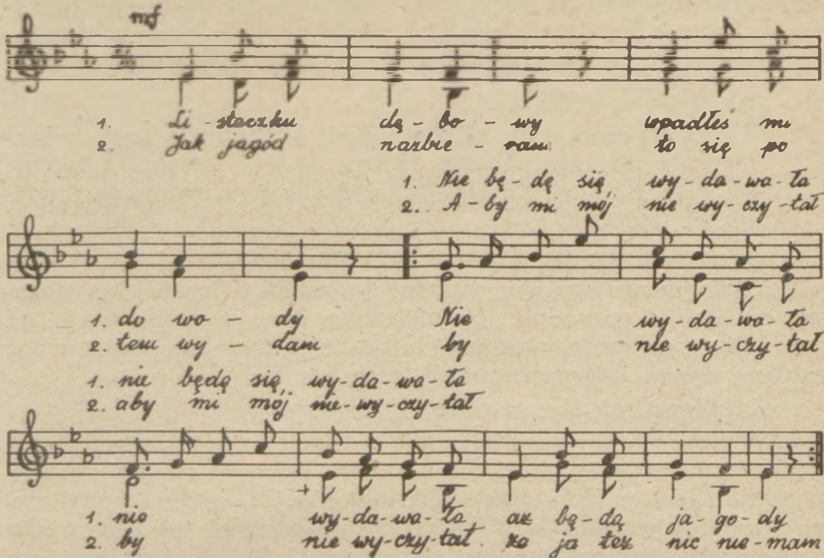


2. *Myśliwecek do niej bieży,*
corne ocka mo, ooo!
A ona se białą chustką
ocka wyciro, ooo!
La, la, la itd.

3. *Cęmu płaces, cemu krzycys*
ma kochanecko, ooo!
Jużeś sobie wypłakała
to prawe ocko, ooo!
La, la, la itd.

Piosenkę tę należy śpiewać umiarkowanie, w tempie zwykłego walca. Od słów la, la, la, itd. weselej, lekko lecz nie krzykliwie.

Walc śląski



Podała *Stefania Iwińska.*

ZABAWA KARNAWAŁOWA

W okresie „karnawałowym" w domu dziecka, świetlicy czy szkole zorganizujmy zabawę dla dzieci. Niech da ona ujście potrzebie ruchu i śmiechu, niech będze dla dziecka pamiętną chwilą wielkiej radości.

Aby zabawa się udała, musimy zawczasu szczegółowo przemyśleć jej plan i poczynić odpowiednie przygotowania. W pracy tej pomoże z ochotą grupa harcerek z miejscowej drużyny — mają przecież w planie swej pracy „służbę dziecku"! Trzeba się tylko do nich zgłosić.

Ustalamy naprzód datę niezbyt bliską, abyśmy mogli zorganizować wszystko należycie. Najlepiej niech to będzie jakieś popołudnie niedzielne.

Następnie staramy się o muzykę. Muzyka wniesie radość, umożliwi nam zorganizowanie korowodów, tańców i pląsów. Może to być fortepian lub pianino, jeśli mamy te instrumenty, jeśli zaś ich nie mamy znajdzie się chyba ktoś grający na harmonii, kto nie odmówi wzięcia udziału w zabawie. Trzeba jednak wcześnie zacząć szukać i omówić z nim dokładnie rodzaj potrzebnych nam melodii. Są to melodie marszowe oraz tanecz-

ne: krakowiak, walczyk, polka, ponadto melodie znanych piosenek dziecięcych. Wcześnie też trzeba wziąć się do przygotowania wszelkich dekoracji i kostiumów, jeśli mamy zamiar wprowadzać je w naszej zabawie. A więc obmyślamy:

a) udekorowanie sali,
b) estetyczne odznaki dla dzieci, które będą nam pomagały podczas zabawy. Mogą to być barwne kokardy, pęki wstążek (z bibułki) przypięte do ramienia, kwiaty itp.,
c) kostiumy dla dzieci potrzebne do części artystycznej.

Ważnym warunkiem udania się zabawy jest dobra organizacja, ład i porządek. Na ustaloną porę sala powinna być już całkowicie przygotowana, a funkcje dokładnie rozdzielone między dzieci, które pomagają w organizacji.

Zajmiemy się teraz planem zabawy.

W zabawie powinna być linia wznoszenia się nastroju, największego nasilenia wesołości, po czym moment odprężenia, odpoczynku i na zakończenie znów — krócej — moment większego nasilenia wesołości. Zabawa powinna trwać tak długo, aby dzieci były nasycone, a nie przesycone. Dzieci powinny rozchodzić się z tym uczuciem, że ubawiły się doskonale i że jeszcze chętnie bawiłyby się w dalszym ciągu. Ale jest to ten moment, gdy wyczuwamy, że już wkrótce znużyłyby się zabawą.

Zależnie od tego, czy rozporządzamy jednym pomieszczeniem czy dwoma, rozstrzygamy sprawę podwieczorku. Jeżeli mamy dwa pomieszczenia wtedy powieczorek wypaść może w przerwie zabawy, a plan jej przedstawiać się może następująco:

1. zabawy, korowody, tańce na sali,
2. część artystyczna,
3. podwieczorek,
4. wspólny śpiew,
5. korowód lub taniec,
6. zakończenie.

Zakończenie — zależnie od nastroju — może nastąpić również bezpośrednio po wspólnym śpiewie.

Jest to plan ogólny przygotowany z góry, mogą w nim jednak w toku zabawy zajść zmiany i odchylenia, zależnie od nastroju dzieci, powodzenia jakiegoś tańca lub korowodu, nowych pomysłów podsuniętych przez dzieci itp.

Jeżeli mamy tylko jedno pomieszczenie, ze względów organizacyjnych może wygodniej będzie przenieść podwieczorek na samo zakończenie, gdyż ustawianie stołów i sprzątanie po „uczcie" zajęłoby dużo czasu.

Podajemy tu materiały, które ułatwią zorganizowanie zabawy.

Korowód

Korowód to marsz przy muzyce lub śpiewie, urozmaicony przeróżnymi figurami. Pomysłowy kierownik zabawy potrafi wprowadzić tych figur mnóstwo, tworząc z gromady dzieci czwórki, koła, węże, prowadząc je pod mostami wzniesionych rąk, dzieląc na grupy i łącząc w jedną całość. Podajemy kilka zasadniczych figur.

Dzieci idą jedno za drugim środkiem sali, dochodzą do prowadzącego zabawę i rozchodzą się — jedno w lewo, drugie w prawo. Obchodzą salę i wracają środkiem, łącząc się w pary. Para w lewo, para w prawo — tworzą czwórki. W czwórkach podają sobie ręce. Prowadzący korowód, przechodząc między czwórkami, łączy je tak, aby utworzył się tzw. wąż — dzieci maszerują w takt muzyki, tworząc koło, zwijając się jak gdyby w „różę" itp. Wreszcie stają parami, zwrócone twarzami do siebie. Pierwsza para rozpoczyna bieg środkiem dwuszeregu — cwał boczny, wszyscy klaszczą. Kolejno przebiegają wszystkie pary.

Walczyk

Walczyk rozpoczynamy korowodem, para za parą, tworzymy czwórki. Z poszczególnych czwórek tworzymy kółeczka, które krążą w lewo i w prawo w takt muzyki. Z małych kółeczek — jedno wielkie koło. Potem koszyczek. Jedno koło wchodzi do środka, drugie pozostaje na zewnątrz koła, krążą: wewnętrzne w lewo, zewnętrzne w prawo i na odwrót. Znów koszyczek. Koszyczek dzielimy na dwie części, które ustawiają się naprzeciw siebie pod przeciwległymi ścianami. Szeregi zbliżają się do siebie, spotkawszy się na środku sali — składają ukłon i cofają się. Powtarzamy to kilkakrotnie. Na zakończenie walczyk ze swymi parami.

Krakowiak

Para za parą krakowiak wokoło sali, potem środkiem. Rozchodzą się: chłopcy w lewo, dziewczynki w prawo. Śpiewają:

C h ł o p c y:

Jestem ja krakowiak,
bo mieszkam w Krakowie,
mam podkówki u bucików
i czapkę na głowie.

D z i e w c z y n k i:

Jestem krakowianka,
stroję się wspaniale:
czerwona spódniczka,
wstążki i korale.

lub inne przyśpiewki, jakie są im znane. Szeregi zbliżają się do siebie, spotykają na środku i tańczą parami wokół sali. Zatrzymują się w kole. Następnie same dziewczynki zbliżają się do środka, tworząc koło, po czym chłopcy tworzą drugie koło, zewnętrzne. Jedno koło w lewo, drugie w prawo. Zatrzymują się. Chłopcy przyklękają, dziewczynki robią obrót w tył i zbliżają się do chłopców. Obiegają chłopców wokoło. Na zakończenie taniec para za parą wokół sali.

RECYTACJE

Recytacje, które podajemy mogą być wykonane częściowo przez kierownika zabawy (lub inną osobę dorosłą), częściowo przez młodzież lub starsze dzieci. Niektóre z tych utworów powinny być wygłoszone z pamięci, przy wygłaszaniu innych możemy pomagać sobie pisanym tekstem. Przyjmujemy zasadę: jeżeli posługujemy się tekstem, nie robimy tego ukradkiem, lecz posługujemy się nim jawnie. Wywoła to znacznie lepsze wrażenie niż spojrzenia rzucane z ukosa do maleńkiej karteczki zwiniętej w dłoni lub podpowiadanie tekstu przez inną osobę. Jednak i w tym wypadku utwór, który mamy wygłosić musi być opracowany doskonale i uprzednio wielokrotnie przeczytany. Powinien sprawiać wrażenie mówionego, nie czytanego.

Naturalność, swoboda, to najważniejsze cechy, które mają charakteryzować naszą część artystyczną. To nie występ, nie „przedstawienie", lecz dalsza część wspólnej zabawy. Wszystko, co wykonamy odbywa się wprost na sali, bez żadnej sceny i kurtyny.

Podane przez nas teksty są bardzo łatwe do wykonania, jednakże nawet one wymagają prób, zgrania się uczestników i dokładnego ustalenia wszystkich szczegółów.

Utwory podane przez nas utrzymane są w jednym charakterze. Są to utwory humorystyczne o zabarwieniu grotesko-

wym, a tematycznie łączą się przeważnie ze światem zwierząt. Można na taką zabawę przygotować program o zupełnie innym charakterze, czerpiąc materiał np. z gadek i baśni ludowych. Można urozmaicić go odpowiednio dobranymi piosenkami. Można również zamiast recytacji przygotować małe widowisko kukiełkowe itp. Zabawę uświetni wprowadzenie jakiegoś tańca ludowego, odtańczonego przez grupę dzieci w kostiumach (w jak najprostszym układzie). Lecz nawet jeśli nie możemy wprowadzić tych wszystkich urozmaiceń — kilka wesołych recytacji i piosenek mile będzie widzianych przez dzieci.

Część artystyczna nie powinna trwać dłużej niż pół godziny.

Antoni Bogusławski.

U kotów w Ustroniu

Kiedy wam tę rzecz opowiem, pewno wprawię was w zdumienie, niebywałe wczoraj bowiem otrzymałem zaproszenie.

Stary Filut, kot poważny, co go cała zna Kanonia, wraz z rodziną swą wyjechał na wywczasy do Ustronia. Filut w marcu się ożenił z Białoskórką od rzeźnika; dzisiaj dwoje małych kociąt przy rodzicach żwawo fika. A że byłem na weselu, więc poczciwe mi kocisko zamruczało:

— Przyjacielu, pojedź do nas na letnisko!

Aby zawieźć upominki dla rodziny miłych kotów, zakupiłem funt słoninki i już zaraz byłem gotów. Nie chcąc spóźnić się, leciałem na przystanek prawie kłusem, ale za to pojechałem do Ustronia autobusem.

W autobusie kot-konduktor wziął za bilet jeden złoty i powiadam wam: jechały oprócz mnie — jedynie koty. Szary, bury, czarny, biały, rudy, pstry, tygrysowaty; jeden plamkę miał na nosie, drugi przy ogonie — łaty. Całe owo towarzystwo to miauczało, to mruczało; myślę, żeby wam się ono, jak mnie — równie podobało. Szofer-kot poganiał szybko swe parowe w wozie konie, ani człowiek się obejrzał, aż tu — patrzcie! — już Ustronie.

Filut z panią Białoskórką, damą, słynną z gościnności, wyszli po mnie z synem, z córką, którzy także lubią gości. Podwieczorek był wspaniały, zastawiony przy tennisie; jakie jedliśmy specjały — przypomina dzisiaj mi się! (Mniejsza o to! Mysie udka są niestrawne dla człowieka . . .)

Ale przeszła chwila krótka, a tam tennis na nas czeka.

No — i wyobraźcie sobie, że kociątka, Mruczuś mały i Czarnuszka, bardzo prędko wszystkich nas jak nic ograły! Gdy za-

częły furczeć piłki, to, choć bardzo się siliłem, muszę przyznać się ze wstydem: ani jednej nie odbiłem! Te kociątka zgrabne, małe, tak jak grały wtedy z nami, grają tam przez dzionki całe i Ustronia są mistrzami!

Co przy partii było wrzawy, to wy wiecie, boście młodzi...

Ale pora do Warszawy, bo autobus już odchodzi!

Pożegnałem się z kotami i z pareczką kociąt miłą, myśląc sobie: jak przyjemnie czas się z nimi przepędziło.

Pewno jeszcze tam pojadę...

Weźcie kiedy przykład ze mnie, a przyznacie, że w Ustroniu u Filutów jest przyjemnie.

„U kotów w Ustroniu" wygłasza osoba dorosła. Mówi żywo, pogodnie niby na serio, a żartobliwie. Utwór może być czytany.

Lucyna Krzemieniecka

Bajka o złym barszczu, chciwej babie i mądrej misie

Była sobie baba jedna,
strasznie chciwa, choć nie biedna.
Miała trepki dwa ponsowe
i pod czepcem chciwą głowę.
Wielka była gospodyni:
worek złota leżał w skrzyni,
koło niego worek srebra,
niczego tam było nie brak.
Baba miała syna, córkę,
jeść im dała byle skórkę.
Choć wszystkiego dosyć miała,
wciąż im jadła żałowała.
Raz, w niedzielę, za piec wlazła,
i buraczka tam znalazła.
— Ej, buraczku, chodź do garnka,
będzie z ciebie barszczu miarka.
Jesteś trochę zapleśniały,
lecz barszcz będzie doskonały.
Chciwa baba się cieszyła,
burak w garnku ułożyła,
wlała wody cztery dzbany:
— gotuj że się mój kochany!
Do południa burak szumiał,

ugotował się, jak umiał.
Był spleśniały, więc wiadomo,
nie smakował barszcz nikomu!
Przyszła córka po kościele,
zjadła barszczu mało-wiele.
Przyszedł synek, popróbował,
lecz mu barszczyk nie smakował.
Wzięła baba barszcz i żwawo
postawiła go pod ławą.
Zaprosiła psy i koty:
— Jedzcie barszczyk, kumciu moja,
Kot spróbował, pies spróbował,
lecz im barszczyk nie smakował.
Aż do baby w tydzień potem
przyszła kumcia z sercem złotym,
a że bardzo biedna była,
więc ją baba tak prosiła:
— Jedzcie barszczyk, kumcio moja,
kot go nie chciał, pies nie dojadł,
moje dzieci go nie chciały,
ale barszczyk doskonały!
Aż się misa rozzłościła,
co na haku w górze była,
gdy tak baba kłamie, gada,
bęc! i misa z półki spada.
Jak nie była mocna, duża,
narobiła babie guza.
Biedna baba; o mój Boże,
wnet straciła na humorze,
bo guzisko babie na złość,
jak kartofel na łeb wlazło.
Siedziało tam cały kwartał.
Była baba tego warta!

Bajkę wygłasza osoba dorosła, lub ktoś z młodzieży (nie dzieci). Można ją zainscenizować.

Lucyna Krzemieniecka

O pszczelim telefonie

Jedna pszczółka z drugą pszczółką, której była przyjaciółką, obie miody zbierające, założyły raz telefon na ogromnej, kwietnej łące.

Zaraz jedna Bzykulińska siadłszy w dzwonku wśród ziół woni, do drugiej Bzykalskiej dzwoni.

Najpierw nakręciła numer. Numer łąki miodosłodki, numer tonki i tymotki, próżno byście zgadywały, numer wiejski, czarodziejski, nowy numer łąki całej.

— Hallo! Tutaj Bzykulińska do Bzykalskiej w ważnej sprawie. Jak to dobrze mieć telefon! Zaraz sekret ci wyjawię. Przyleć szybko, jest pud miodu na kwitnącej saradeli!

— Hallo! Że co, moja droga, że mnie prosisz na wesele?

— Ależ nie, nie na wesele, mówię leć na saradelę, a stamtąd na koniczynę!

— Że co, proszę, nic nie słyszę, że wesele za godzinę?

— Hallo! słyszysz, cóż tam z tobą, wszak nigdy nie byłaś głucha?

— Że co proszę, nie dosłyszę, czy tam ma być jakaś mucha?

— Jaka mucha, co ty pleciesz, o pud miodu przecież chodzi, by go zabrać z saradeli. Czekaj, powiem po literach, przez telefon tak się godzi. S, jak stulisz, a — akacja, r — jak nasz rozchodnik biały, i znów a — jak arcydzięgiel, d — jak dęby, zrozumiałaś?

— Że co proszę, nie dosłyszę, jakże mogę słyszeć wiele, gdy w pobliżu telefonu hałasują sobie trzmiele.

— Co takiego?

— Ano właśnie, głos gdzieś wsiąka w młodą trawkę.

— Niech cię nie znam!

Bzykulińska zawiesiła swą słuchawkę. Poleciała rozżalona poprzez łąkę ukwieconą. Od tej pory Bzykulińska nie używa telefonu.

W wygłoszeniu utworu biorą udział trzy osoby: opowiadający i dwie pszczoły. Opowiadający swym sposobem mówienia powinien wydobyć całą poetyckość podawanych opisów. Rozmowa pszczół, przeprowadzona żywo i dobrze wygrana, powinna wywołać efekt komiczny.

Jeżeli możemy wprowadzić pewne akcesoria — dajmy pszczołom odpowiednie kostiumy lub przybrania na głowę, a przede wszystkim tuby telefoniczne utworzone z elementów

kwiatowych (np. liliowy dzwonek leśny z łodygą jako słuchawka).

Utwór powinien być wykonany z pamięci.

Jan Brzechwa

Jaszczurka

Na szczycie zielonego pagórka
mieszka uczona jaszczurka.
Ma w chatce na skraju lasku
szkołę swego wynalazku.
Siedzi więc na progu chatki
i wymyśla zagadki.

Oto pierwsza: s z c z e r z y z ę b y,
c h o c i a ż w c a l e n i e m a g ę b y.
Druga: l e d w i e s i ę u r o d z i,
a j u ż m a d w a n a ś c i e g o d z i n.
Trzecia: ż y j e, g d z i e s i ę z d a r z y,
c h o ć j e s t z i m n a, j e d n a k p a r z y.
Czwarta: m i e s z k a w ś r ó d d ą b r o w y,
m a k a p e l u s z z a m i a s t g ł o w y.

Kto nadeśle rozwiązanie,
ten od jaszczurki dostanie
miodu ćwierć deka,
kroplę ptasiego mleka,
wiatru pięć garstek
i słonka cały naparstek.

Przed rozpoczęciem recytacji (którą wykonuje osoba dorosła lub ktoś z młodzieży) zapowiadamy dzieciom, że w wierszu będzie kilka zagadek. Po każdej zagadce robimy chwilową przerwę. Dzieci zgadują.

Przy wygłaszaniu możemy pomagać sobie napisanym tekstem.

Trafne rozwiązania: 1. grzebień, piła, grabie; 2. zegar; 3. pokrzywa; 4. grzyb.

Jan Brzechwa

Przyjście wiosny

Naplotkowała sosna,
że już się zbliża wiosna.
Kret skrzywił się ponuro:
— Przyjedzie pewno furą.
Jeż się najeżył srodze:
— Raczej na hulaj-nodze.
Wąż syknął: — Ja nie wierzę,
przyjedzie na rowerze.
Kos gwizdnął: — Wiem coś o tym,
przyleci samolotem.
— Skąd znowu — rzekła sroka —
ja z niej nie spuszczam oka,
i w zeszłym roku w maju
widziałam ją w tramwaju.
— Nieprawda! wiosna zwykle
przyjeżdża motocyklem!
— A ja wam to dowiodę,
że właśnie samochodem.
— Nieprawda, bo w karecie!
— W karecie? Co pan plecie!
Oświadczyć mogę krótko,
że płynie własną łódką!

A wiosna przyszła pieszo,
już kwiaty za nią spieszą,
już trawy przed nią rosną
i szumią: witaj, wiosno!

Utwór wykonuje osoba opowiadająca i zespół rozbity na głosy. Rozmowa powinna być przeprowadzona żywo, głosy zwierząt zróżnicowane, pod koniec dyskusja przybiera charakter kłótni. Kontrastować powinien z tym ostatni czterowiersz, wypowiedziany głosem ściszonym, poetycznie, oddający pełen prostoty urok nadchodzącej wiosny.

„Zwierzęta“ muszą opanować tekst pamięciowo; dobrze, aby i opowiadający umiał tekst na pamięć.

Jan Brzechwa

Na straganie

Na straganie w dzień targowy
takie słyszy się rozmowy:
— Może pan się o mnie oprze,

pan tak więdnie, panie Koprze.
— Cóż się dziwić, mój Szczypiorku,
leżę tutaj już od wtorku!
Rzecze na to kalarepka:
— Spójrz na Rzepę, ta jest krzepka!
Groch po brzuchu Rzepę klepie:
— Jak tam, Rzepo? Coraz lepiej?
— Dzięki, dzięki, panie Grochu,
jakoś żyje się po trochu,
lecz Pietruszka — z tą jest gorzej:
blada, chuda, spać nie może.

— A to feler!
westchnął Seler.

Burak stroni od Cebuli,
a Cebula doń się czuli:
— Mój Buraku, mój czerwony,
czybyś nie chciał takiej żony?
Burak tylko nos zatyka:
— Niechno pani prędzej zmyka,
ja chcę żonę mieć buraczą,
bo przy pani wszyscy płaczą.

— A to feler!
westchnął Seler.

Naraz słychać głos Fasoli:
— Gdzie się pani tu gramoli?
— Nie bądź taka dla mnie wielka!
odpowiada jej Brukselka.
— Widzieliście, jaka krewka!
zaperzyła się Marchewka.
— Niech rozsądzi nas Kapusta!
— Co, Kapusta?! Głowa pusta?!
A Kapusta rzecze smutnie:
— Moi drodzy, poco kłótnie,
poco wasze swary głupie,
wnet i tak zginiemy w zupie!

— A to feler!
westchnął Seler.

Utwór jest wykonany przez opowiadającego i zespół reprezentujący warzywa. Wykonawcy powinni tak siedzieć, jak dyktują słowa: a więc Koper koło Szczypiorka, Cebula koło Buraka itp. Mówiąc, wykonują odpowiednie miny i gesty. Całość powinna mieć charakter ożywionej rozmowy, w której

zarysowują się cechy poszczególnych rozmówców — i tak: Szczypiorek jest wyszukanie uprzejmy, Cebula — czuła do przesady, Fasola, Brukselka i Marchewka — zaperzone i skłonne do kłótni, Seler wywołuje wesołość swymi nagłymi odezwaniami, w których śmiesznie akcentuje zgłoskę „Fe".

Wprowadzenie kostiumów (przynajmniej w formie przybrań na głowę w kształcie warzyw) ożywi recytację.

Opowiadający może pomagać sobie tekstem napisanym (lepiej, gdy tego nie robi). Warzywa mówią z pamięci.

Jan Brzechwa

Katar

Spotkał katar Katarzynę —
a — psik!
Katarzyna pod pierzyną —
a — psik!
Sprowadzono wnet doktora —
a — psik!
— Pani jest na katar chora —
a — psik!
Terpentyną grzbiet jej natarł —
a — psik!
A po chwili sam miał katar —
a — psik!
Poszedł doktór do rejenta —
a — psik!
A to właśnie były święta —
a — psik!
Stoi flaków pełna micha —
a — psik!
A już rejent w michę kicha —
a — psik!
Od rejenta poszło dalej —
a — psik!
Bo się goście pokichali —
a — psik!
Od tych gości ich znów goście —
a — psik!
Że dudniło jak na moście —
a — psik!
Przed godziną jedenastą —
a — psik!
Już kichało całe miasto —

a — psik!
Aż zabrakło terpentyny —
a — psik!
Z winy jednej Katarzyny —
a — psik!

Tekst cały mówi jedna osoba, zespół tylko kicha.

Utwór powinien być wykonany w ten sposób, aby owo kichanie narastało stopniowo, aż do największego nasilenia po słowach „już kichało całe miasto". Początkowo kicha część zespołu lub tylko głosy żeńskie, po słowach „i po chwili sam miał katar" dołącza się głos męski, lub reszta zespołu. Po słowach „aż zabrakło terpentyny" — kichnięcie staje się słabe, a ostatnie — na zakończenie — jest raczej jakby westchnieniem, oznaką wyczerpania.

To zespół. Opowiadający zaś powinien go prowadzić i podniecać swym głosem i interpretacją do coraz mocniejszej reakcji. Mówi coraz żywiej, coraz głośniej, aż osiąga najwyższe natężenie przy słowach „Już kichało całe miasto". Ostatni dwuwiersz mówi trochę ciszej.

Wiersz ten zazwyczaj dzieciom się niezmiernie podoba. Można więc, jeżeli wydaje nam się, że zrobimy tym dzieciom przyjemność, powtórzyć go jeszcze raz, tym razem z udziałem całej publiczności, która z pewnością z zapałem pomoże w kichaniu.

Jako ogólną uwagę dodać należy, że pomiędzy poszczególnymi recytacjami nie robimy dłuższych przerw. Całość powinna być wykonana sprawnie, żywo, bez dłużyzn, które odbiorą najweselszym utworom ich urok.

Również żywe tempo powinno cechować całą zabawę. Udanie się jej zależy od dobrego przygotowania oraz od kierownika, który potrafi wywołać pogodny i serdeczny nastrój.

GRY I ZABAWY

Smok

Nasz „Smok", w którego dzieci tak chętnie się bawią, jest bardzo groźny. Ma cztery głowy zwrócone w cztery strony świata (czworo dzieci podają sobie prawe ręce tworząc młynek). Dzieci uciekają jak najdalej od smoka, który nie siedzi w smoczej jamie, ale wyrusza w „świat" i chwyta uciekających. Smok nie może biec wprost, tylko musi obracać się nawet wtedy, gdy zdąża do upatrzonego dziecka.

Jeśli smok schwyci kogoś swoją wolną ręką (młynka nie wolno rozerwać), przedłuża swoje ramię i w ten sposób szybciej chwyta uciekających.

Sąsiedzi

Dzieci stają w kole i mają przypatrzeć się dobrze swym sąsiadom. Sąsiad z prawej ucieka, a goni sąsiad z lewej. Na dany znak dzieoi się rozbiegają. Dziecko musi chwycić sąsiada z prawej, ale ucieka przed sąsiadem z lewej.

Odpowiedz szybko

Prowadzący grę wymienia dwie litery. Ten, kto pierwszy znajdzie słowo zaczynające się na pierwszą literę, a kończące na drugą wygrywa i otrzymuje punkt, np.: k—z kolarz, a—k Alek.

Pawle, gdzie jesteś?

Dzieci stają w kole. Na środku stoi Paweł i Gaweł — obaj mają oczy zasłonięte. Dla zmylenia orientacji prowadzący grę okręca kilka razy dokoła własnej osi Pawła, a następnie Gawła.

Paweł ucieka, a Gaweł goni.

Od czasu do czasu nawołują się: Gdzie jesteś, Pawle? Tu jestem, Gawle! Uczestnicy wiążą koło, za obręb którego nie może oddalić się Paweł i Gaweł.

Na sali musi być cicho mimo śmiesznych ruchów uciekającego i gonionego. Schwytany Paweł jest Gawłem, a wybrane dziecko Pawłem.

Zawód

Dzieci siadają w kole. Prowadzący grę rzuca chusteczkę i wymienia jakiś zawód.. Zapytane dziecko musi natychmiast odpowiedzieć, wymieniając przedmiot używany w danym zawodzie, np.: szewc — dratwa, kopyto; krawiec — igła, nożyce. Odpowiadać trzeba natychmiast, wymieniając jeden przedmiot. W dalszym ciągu gry nie wolno go wymieniać. Dziecko, które nie odpowiedziało natychmiast — daje fant.

Dziwny głos

Dzieci tworzą koło. W środku koła stoi dziecko z zasłoniętymi oczyma, w ręku ma pałeczkę.

Koło porusza się na znak stojącego w środku dziecka i na jego znak zatrzymuje się. Dziecko wskazuje pałeczką na jednego z kolegów. Wskazany musi wydać jakiś dźwięk, zmieniając głos. Jeśli dziecko stojące w środku zgadnie, kto się odezwał, następuje zmiana miejsc.

Mozaika

Drobne kawałki kolorowego kartonu, czy barwne okładki z zeszytów można wykorzystać na zrobienie mozaiki geometrycznej. Z papieru wycinamy figury geometryczne różnego kształtu i wielkości — trójkąty, kwadraty, koła, trapezy itd.

W długie wieczory zimowe dzieci bardzo chętnie zajmują się takimi pracami, jak wycinanie i układanie. Układają z figur przeróżne wzory, nieraz bardzo ładne, a nawet postacie, często komiczne i pomysłowe. Można urządzać konkursy na ułożenie wzoru na ramkę, witraż lub tym podobne.

Podała *Zofia Skalska.*

JAK Z NICZEGO ZROBIĆ COŚ

Dzieci nasze nie mają zabawek. My nie mamy pieniędzy na ich kupienie. Dzieci się nudzą.

Czy nie może być inaczej? Czy nie potrafimy temu zaradzić?

Poszukajmy wokół siebie.

Mamy paczki UNRRA. Rozdajemy je dzieciom. Niech z boku lub z wierzchu naklei każde dziecko na pudełku swój znak, który mu pozwoli trafić zawsze do swoich skarbów.

Bo te paczki — to skarbce dzieci. Mieszczą się w nich papiery, gałganki, szpilki, laleczki z materiału, broszki, zapinki do włosów, lusterka, sznurki, kasztany, patyki, ołówki.

Z paczek UNRRA budujemy dom dla lalek (mniejszy z jednej, większy z dwu lub więcej), umeblowany sprzętami z pudełek od zapałek i papierosów.

Możemy z nich zbudować umeblowanie dla dużych lalek, jeżeli je mamy: półkę na książki z czterech ustawionych jedno na drugim pudełek, biblioteczkę — z pięciu (trzy jedno na drugim, obok dwa jedno na drugim), biurko z sześciu (trzy i trzy przykryte blatem z tektury).

Możemy zbudować szopkę i teatr chińskich cieni — każde z jednej paczki, a także sklep z półkami i ladą sklepową.

Tektury od tych paczek użyć możemy do gier stolikowych, jak szachy, warcaby, chińczyk, halma, wyścigi różnego rodzaju, domino, loteryjki, mozajki dla przedszkolaków, wreszcie na wiązane teczki do notatek i bloki do rysunków.

Do pracy potrzebny nam jest ostry nóż introligatorski lub szewcki, kolec do robienia otworów w tekturze, drut lub cienki a mocny sznurek do spajania pudełek, kolorowy papier do oklejania, względnie farba klejowa albo lakier do malowania mebli.

Nie wyrzucamy ani jednego blaszanego pudełka od konserw. Duże, od margaryny, używamy w gospodarstwie, w spiżarni, lub też jako wiadra do wody czy odpadków — po dorobieniu rączki z drutu.

Z puszek od mleka robimy dla każdego dziecka kubeczek do mycia zębów. Dobrze, gdy dorobimy do nich uszka — możemy jednak obejść się i bez nich; byleby tylko brzegi były starannie obcięte i przyklejone.

Niskie pudełka są doskonałe na proszek do zębów.

Blaszane pudełka stanowią tworzywo całego szeregu zabawek.

Podłużny otwór w denku puszki od mleka uczyni z niego skarbonkę.

Dwie okrągłe dziurki w obu denkach puszki od pomidorów z przeprowadzonym przez nie drutem, którego końce w specjalny sposób połączymy na zewnątrz — da nam wałek do ubijania ziemi.

Z tej samej puszki, przez dorobienie kół z przykrywek pudełek po kawie — otrzymamy wóz strażacki. Koła umieszczamy na osiach, jakie przeprowadzamy przez puszkę od pomidorów. Do przedniej osi doczepiamy drewniany lub druciany dyszel. Podobnie wykonujemy lokomotywę.

Wagę szalkową wykonujemy z pudełek od pasty do obuwia, lub innych.

Jeżeli w pokrywce i denku małego pudełka od kawy zrobimy po jednym otworze, przez które przesuniemy drewienka, zaostrzone z jednej strony jak ołówek — otrzymujemy bąka. Bąka grającego otrzymamy przez włożenie do pudełka kilku kamyczków.

Garnuszki dla lalek, foremki i kubełki do piasku, nawet „klocki" do budownictwa — to przedmioty, które bez żadnego prawie trudu możemy dostarczyć dzieciom do zabawy.

W domu dziecka wyzyskane jest każde pudełko, każda puszka.

Dzieci mają się czym bawić.

Irena Zgrychowa.

Redakcja zwraca się do czytelników z gorącą prośbą o nadsyłanie opisów zabawek i pomocy do zajęć, zrobionych przez siebie lub przez wychowanków — „z niczego".

KRONIKA

ZJAZDY KIEROWNIKÓW DOMÓW DZIECKA

Wobec tego, że cały świat odbywa zjazdy, poświęcone najprzeróżniejszym zagadnieniom — rozpoczęły się także u nas, nieznane przed wojną, zjazdy kierowników domów dziecka.

Pierwszy taki zjazd zorganizował jeszcze jesienią ubiegłego roku Wydział Opieki Społecznej Urzędu Wojewódzkiego Warszawskiego.

Pierwszy zjazd, zorganizowany już przez władze oświatowe, odbył się w maju bieżącego roku w Sopocie. Organizujące go Kuratorium Gdańskie było pierwszym, które rozbudowało na swoim terenie akcję tworzenia państwowych domów dziecka.

Następne zjazdy zorganizowały: w sierpniu — Kuratorium Krakowskie, w październiku — Wrocławskie i Pomorskie (Toruń), w listopadzie — Białostockie, Łódzkie i Lubelskie, w grudniu — w Kielcach i Rzeszowie.

Zjazdy były na ogół zorganizowane dobrze, niektóre nawet bardzo dobrze. Obecność kierowników — prawie stuprocentowa. Jedynie udział kierowników w obradach nie był na wszystkich zjazdach jednakowy — w jednych brali oni udział żywy i czynny, w innych raczej bierny, co tłumaczy się całkowicie nieobeznaniem kierowników z tą formą pracy, jaką są zjazdy i konferencje zbiorowe.

Ze względu na trudne warunki, w jakich znalazły się po wojnie domy dziecka — zagadnienia gospodarcze wysunęły się w kilku okręgach na plan pierwszy.

Na wszystkich zjazdach uderzyło u ogółu kierowników, pracujących w bardzo nieraz ciężkich warunkach — duże zrozumienie sytuacji materialnej kraju, a co za tym idzie — niedostateczności świadczeń ze strony powołanych do tego czynników, oraz wielka gotowość do dalszej pracy dla dobra dziecka — mimo piętrzących się trudności i mimo, że praca w domu dziecka wymaga całkowitej nieraz rezygnacji z życia osobistego i osobistych potrzeb.

Ta postawa kierowników pozwala ufnie patrzeć w przyszłość naszych domów dziecięcych.

KONGRES DZIECKA

Z inicjatywy Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci (RTPD) odbędzie się w roku 1947 Polski Kongres Dziecka, na którym omawiane będą zagadnienia opieki nad dzieckiem i zagadnienia wychowawcze.

Pierwszy Ogólnopolski Kongres Dziecka odbył się w październiku 1938 roku w Warszawie z inicjatywy Stowarzyszenia Uczestników Walki o Szkołę Polską (walki z caratem). Wzięły w nim udział, obok przedsta-

wicieli rządu, wszystkie organizacje społeczne, przedstawiciele świata pedagogicznego, lekarskiego, prawniczego.

Kongres uchwalił szereg postulatów z dziedziny prawa i organizacji opieki nad dzieckiem. Wybuch wojny uniemożliwił ich realizację.

Kongresy dziecka mogą mieć duże znaczenie.

Mogą one przez dopuszczenie do publicznego wypowiedzenia się szeregu specjalistów doprowadzić do zebrania całokształtu danych o sprawie, do wszechstronnego oświetlenia tematu, do porównania i pogłębienia poglądów pracowników sprawy dziecka, do koordynacji wysiłków poszczególnych czynników do wypracowania wspólnych wytycznych i wspólnego planu pracy.

Z drugiej strony mogą one stać się poważnym czynnikiem propagandowym dla tak mało popularnego zagadnienia, jakim jest wciąż jeszcze w Polsce zagadnienie najmłodszego pokolenia.

PRACE KOMISJI X NA KONGRESIE PARYSKIM

Dziecko — ofiarą wojny

Zadaniem Komisji X paryskiego Kongresu Ligi Nowego Wychowania było z jednej strony:

zobrazowanie tragicznej sytuacji dziecka w poszczególnych krajach okupowanej Europy,

z drugiej zaś:

znalezienie środków zaradczych i określenie form skutecznej pomocy. Tym się tłumaczy, że część referatów miała charakter sprawozdawczy, część — dyskusyjny. W pierwszych referenci starali się wykryć, zdefiniować i plastycznie odmalować zło, będące funkcją wojny, w drugich — kładli głównie nacisk na problemy wychowawcze, stawiając tezy i omawiając osiągnięcia społeczeństw powojennych w zakresie opieki nad dzieckiem.

Oba typy referatów, dopełniając się wzajemnie, pozwoliły w dyskusji na podsumowanie wniosków. Były one następujące:

Należy uznać dziecko za główną i najtragiczniejszą ofiarę wojny, ponieważ we wszystkich krajach biorących w niej udział, zostało ono poszkodowane fizycznie, umysłowo i moralnie. Wojna spowodowała wszędzie zahamowanie przyrostu naturalnego, wzrost śmiertelności wśród niemowląt, straty w dzieciach zabitych, opóźnienie rozwoju dziesiątków milionów dzieci niedożywionych i pogorszenie stanu ich zdrowia, wzrost przestępczości, zwiększenie ilości kalek, sierot wojennych i dzieci bezdomnych. Podobieństwa dotyczą faktów i problemów, różnice — cyfr. Polska, Jugosławia czy też Rosja mówią o wielu milionach swych dzieci skrzywdzonych przez wojnę podczas gdy inne kraje europejskie liczą ich tylko tysiące. Podobnie ilość dzieci zabitych i okaleczonych na skutek działań wojennych jest w tych trzech krajach wielokrotnie większa niż w pozostałych. Nie zmienia to w niczym faktu, że cała Europa, a właściwie cały świat, świadomy

krzywdy wojennego dziecka, pragnie mu przyjść z pomocą i szuka dla niej najlepszych i najwłaściwszych form.

Akcja pomocy dziecku została uznana na Kongresie za akcję najpilniejszą, przy czym określono, że musi być ona szybka, skoordynowana i pojęta nie jako łaska, ale najpierwszy z obowiązków Narodów Zjednoczonych. W myśl sformułowanej na Kongresie tezy, narody bogatsze i mniej poszkodowane przez wojnę powinny przyjść z wydajną pomocą krajom zdewastowanym przez okupantów. W związku z tym rzucony został projekt powstania Międzynarodowej Organizacji Pomocy Dzieciom — Ofiarom Wojny.

II.

Drugim z ogólnych wniosków, które się wyłoniły w dyskusji, był ten, że pomoc winna obejmować wszystkie dzieci bez wyjątku, a więc tak samo dzieci zwycięzców jak i pokonanych, a to ze względu na to, że ofiary wojny znajdują się zarówno po jednej jak i po drugiej stronie. Wszystkie dzieci wojenne, niezależnie od swej narodowości, muszą być wyleczone jak najszybciej z ran zadanych przez wojnę i wychowane od nowa w duchu miłości wzajemnej i twórczej współpracy wszystkich narodów. Baczną uwagę trzeba będzie zwrócić w przyszłości na dzieci Hiszpanii i Portugalii, a to ze względu na to, że pomimo zakończenia wojny i klęski faszyzmu, znajdują się one nadal w faszystowskim środowisku wychowawczym. Co do młodzieży i dzieci państw osi, Kongres wypowiedział się za ich bezwzględną denazyfikacją z tym zastrzeżeniem, że defaszyzacje ta musi być uważana za problem wyłącznie pedagogiczny. Żadne metody przymusu i gwałtu nie mogą być stosowane przez tych, którzy piętnują metody i cele wychowawców faszystowskich i dążą do wychowania nowego, doskonałego człowieka — obywatela całego świata.

W związku z tezą o pokrzywdzeniu przez wojnę wszystkich dzieci bez wyjątku, wyłoniło się podczas dyskusji pytanie, jak powinien się ułożyć stosunek poszczególnych społeczeństw do dzieci kollaboracjonistów i volksdeutschów? Postawiona została teza, że dzieci tej kategorii zdrajców nie mogą być odpowiedzialne prawnie do 14 roku życia i że winy ich ojców nie powinny ich obciążać. Dzieci te, w myśl dewizy wyznawców nowego wychowania, głoszącej, że „każdy człowiek winien być twórczym członkiem swego społeczeństwa“, powinny wejść z powrotem w społeczność, z której wyszły. Obowiązkiem państwa jest dbać o to, aby dzieci te nie były izolowane i traktowane odmiennie od swych rówieśników. Mimo zgłoszonych zastrzeżeń przedstawicieli krajów najdotkliwiej poszkodowanych przez okupantów, członkowie Komisji wypowiedzieli się na ogół za wychowywaniem tych dzieci na równi i łącznie z wszystkimi innymi. Natomiast uznano za słuszne potraktować odmiennie dzieci kollaboracjo-

nistów i volksdeutschów od lat 14 wzwyż. O ile brały one udział w zbrodniach wojennych, winny być wychowywane w specjalnych, izolowanych zakładach wychowawczych. Młodzież ta, jako zdemoralizowana przez wychowanie faszystowskie i przez wojnę, powinna być zaliczona do młodocianych przestępców i traktowana na równi z nimi.

Jest rzeczą ciekawą, że dla delegatów krajów, których młodzież ucierpiała minimalnie w ciągu sześciu lat wojny, różnica między dziećmi biorącymi udział w walce w roli napastników a dziećmi broniącymi siebie i ojczyzny w walkach partyzanckich, nie była z początku dostatecznie wyraźna. Kierowani uczuciami i względami humanitarnymi, delegaci tych krajów — zwłaszcza anglosaskich — nie brali jak gdyby pod uwagę intencji i motywów, które kierowały dziećmi obu tych grup. Ważne były dla nich inne momenty, a mianowicie:

a) wojna — to nie rzecz dzieci. Udział ich w walce i wszelkich akcjach niosących śmierć jest zjawiskiem niepożądanym i niemoralnym. Społeczeństwo nie ma prawa wciągać dzieci w wir walk, a przez to deprawować je i wykolejać,

b) nieobliczalne są skutki tego rodzaju wykolejenia dzieci i młodzieży. Zarówno dzieci-napastnicy jak mali partyzanci tracą związek ze swą młodocianą społecznością i na skutek swych przeżyć nie będą już w stanie do niej powrócić. W rezultacie dzieci te, zdeprawowane i przedwcześnie dorosłe, będą musiały być wychowywane od nowa. Zasady, którymi należy się kierować w tym wychowaniu są następujące: dzieci te muszą jak najprędzej zapomnieć o nienormalnym życiu w czasie wojny i jak najbardziej naturalnie wejść z powrotem we własne społeczeństwo.

Kierowanie się jedynie tymi wytycznymi, jako niesłuszne i krzywdzące dzieci krajów okupowanych, wywołało protest delegacji polskiej. Zdając sobie doskonale sprawę z ujemnych skutków brania udziału w walce przez nieletnich, stała ona jednak na stanowisku, że nie można nie uwzględniać motywów i intencji powzięcia przez nich decyzji tej walki. Mali partyzanci i sabotażyści, dzieci-powstańcy warszawscy czy też dzieci żydowskie walczące w gettcie, nie mogą być zaliczone na równi z niemieckimi napastnikami do kategorii dzieci wypaczonych i zdemoralizowanych przez wojnę. Mimo, że były zmuszone do uczestniczenia w jej okropnościach, nie uległy one przeważnie demoralizacji właśnie dzięki czystości intencji, duchowi ofiary, poświęcenia i miłości ojczyzny. W referacie wygłoszonym na Komisji podkreśliłam jeszcze i ten moment, że skoro wojna nie jest rzeczą dzieci, nie powinny były one również być brane na zakładników, rozstrzeliwane i palone w krematoriach. Nienormalne czasy i nieprawdopodobne warunki życia narzucają często nowe, tragiczne prawdy. Jedną z nich była ta, że dzieci polskie nie mogły być, niestety, izolowane ani ewakuowane w głąb kraju, jak dzieci Londynu czy też Moskwy. Zostały one na polu

walki wbrew woli starszego społeczeństwa, a wskutek tego zmuszone były żyć, walczyć i ginąć na ziemiach Polski jak prawdziwi, bohaterscy żołnierze.

Niepojęty dla nas — a jednak typowy dla społeczeństw, które nie doznały na sobie skutków niemieckiego terroru — brak zrozumienia dla problemu dzieci biorących udział w walkach, nie wpłynął jednak na niewłaściwe sformułowanie ostatecznej tezy. W rezultacie wyodrębniono sprawę dziecka walczącego w obronie własnej i zagrożonej ojczyzny. Przyjęto jednak jako wspólną zasadę, że dzieci, które brały udział w działaniach wojennych, powinny jak najprędzej wrócić do normalnego życia w gromadzie swych rówieśników. Zwrócono również uwagę na niebezpieczeństwo wychowywania tych dzieci w niezdrowej atmosferze samouwielbienia i kultu bohaterstwa. Postanowiono, że w żadnym wypadku społeczeństwo nie będzie się posługiwało nimi dla celów propagandowych. I tak np. dzieci te nie powinny brać udziału w charakterze „małych bohaterów" w żadnych defiladach, akademiach itp. Nie powinny one wzrastać w przekonaniu, że są wyjątkowymi, zasłużonymi członkami społeczeństwa, którymi ono się chlubi i od którego mają one — i będą miały zawsze — prawo domagać się uznania i świadczeń.

III.

Trzecim ośrodkiem krystalizacyjnym dyskusji nad dzieckiem — ofiarą wojny był problem wzrostu przestępczości wśród młodocianych. W swym podstawowym referacie przedstawiciel Francji, M. Roger, doszukał się przyczyn tego zjawiska w rozbiciu rodzin, włóczęgostwie dzieci, w alkoholizmie a wreszcie w korupcji i demoralizacji całego społeczeństwa. We Francji 1939 roku liczba wyroków przeciwko nieletnim przestępcom wynosiła 12 165, w 1943 r. — 35 290, a w 1944 r. wzrosła aż do 40 000. Dane statystyczne dotyczące przestępczości w czasie wojny młodzieży polskiej nie są tak tragicznie wymowne jak dane francuskie. Młodzież polska stosunkowo łatwo otrząsnęła się z nawyków i nałogów okupacyjnych, a jej ideowa postawa uchroniła ją w znacznym stopniu od demoralizacji i upadku. Ankieta przeprowadzona w Polsce na wiosnę 1945 r. przez Państwowy Instytut Higieny Psychicznej w Warszawie wykazała (sprawozdanie dr M. Kaczyńskiej), że zmian ujemnych, świadczących o obniżeniu się moralności badanej młodzieży było tylko 17,8 %, natomiast zmian świadczących o zmniejszeniu sprawności życiowej i wyczerpaniu nerwowym — aż 82,2 %. Mimo braku wyćwiczenia moralnego i nawyków moralnych, nastawienie polskiej młodzieży jest dodatnie, a dojrzałość duchowa — zupełnie wyjątkowa.

W stosunku do młodzieży przestępczej, której szeregi powiększyły się we wszystkich krajach europejskich, wysunięta została teza (prof. S.

Baley'a) głosząca, że sądy dla nieletnich winny działać zawsze w oparciu o poradnię psychologiczną. Każdy młodociany przestępca powinien się znajdować pod stałą obserwacją psychologa i lekarza-psychiatry.

Kończąc omawianie zgubnego wpływu wojny na psychikę dziecka, wypada zaznaczyć, że ujemne zmiany psychiczne dotyczą również wzrostu zmaterializowania, pesymizmu, apatii, podejrzliwości, egoizmu i bezwzględności. Duży procent najwrażliwszych dzieci zdradza odrazę i strach przed życiem, wyczerpanie nerwowe i osłabienie woli. Powojenne nerwice i upośledzenia wzroku oraz pamięci mają również źródło we wstrząsach, którym tylokrotnie ulegał młody organizm w ciągu sześciu lat ostatniej wojny.

(Dokończenie w Nr 5).

H. Auderska.

SPIS TREŚCI:

Redakcja — Irena Chmieleńska i dr Irena Skowronkówna. Sekretarz redakcji — Jadwiga Ligocka. Komitet Redakcyjny — Zofia Niemcowa, Krystyna Popiel, dr Maria Uklejska.

Adres Redakcji: Ministerstwo Oświaty, Warszawa, Al. I Armii 25, pok. 259.
Adres Administracji: PZWS, Warszawa, Kredytowa 9

Drukarnia Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych w Łodzi
D - 08991—287/46